Nr. 21. Warszawa, dnia 25 (13) Maja 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UPADEK KALNOKY'EGO.

Załagodzenie sporu między Kalnokym a Banffym przez Franciszka Józefa w d. 6 maja nie było jeszcze ostatecznem rozstrzygnięciem sprawy między Węgrami a cesarzem monarchii austro-węgierskiej i jego kanclerzem. Okupiono wówczas zgodę poświęceniem nuncyusza Agliardi'ego, jako winnego całej burzy, oraz zobowiązaniem się Kalnoky'ego do niezwłocznego wystąpienia w Watykanie przeciwko czynom, „uwłaczającym samodzielności Węgier.“ Cesarz, chcąc mieć spokój i uchronić się od troski o nowego kanclerza, walącą się już ścianę załatał deskami; kanclerz, ulegając cesarzowi, dopomógł mu w tej robocie. Bez istotnej woli działania upragnionego przez węgrów, a w braku odwagi do wystąpienia przeciwko nim — Kalnoky przyjął na siebie zobowiązanie, którego dotrzymać nie mógł, jeśli nie chciał sprzeniewierzyć się rzeczywistym swoim przekonaniom i sympatyom. Natarczywość węgrów, nie ustająca ani na chwilę, wskutek tej dwuznaczności położenia, jakie zajął wspólny minister spraw zagranicznych, zatarła charakter samowoli w wystąpieniu Banffy'ego i stojącego za nim sejmu: zniknęła wina węgrów, pozostało tylko niespełnione i, co większa, lekceważone zobowiązanie się kanclerza w Wiedniu.

Wtedy już, kiedy Banffy zawiadomił sejm o wysłaniu przez Kalnoky'ego noty do Watykanu — noty wcale nie napisanej — kanclerz austro-węgierski skazany był na ustąpienie albo z przekonań i sympatyj swoich, albo z urzędu. Odczytana przez Banffy'ego w sejmie węgierskim odezwa wspólnego ministra spraw zagranicznych z d. 25 kwietnia, upoważniała najzupełniej prezesa ministrów węgierskich do wymagania od Kalnoky'ego jakiegoś objawu dyplomatycznego przeciwko Agliardi'emu. Kalnoky w tej nocie przyznaje, że nuncyusz okazał swemi manifestacyami na Węgrzech naganny brak taktu, przez to głównie, iż, nie poprzestając na odwiedzaniu książąt kościoła, przemawiał publicznie w duchu opozycyi przeciwko prawom wyznaniowym i polityce rządu. Po takiem przyznaniu zobowiązuje się minister, w sposób jak najbardziej stanowczy, uczynić w Watykanie przedstawienie przeciwko wtrącaniu się nuncyusza w wewnętrzne sprawy Węgier. Banffy postąpił brutalnie, nie uprzedzając Kalnoky'ego o swej odpowiedzi na interpelacyę w d. 1 maja, a zatajeniem jej treści pragnąc przyprzeć wspólnego ministra do muru, tak, aby się już cofnąć nie mógł; ale znowu Kalnoky postąpił nierzetelnie, ociągając się ze spełnieniem zobowiązania, kiedy szybkie tylko działanie mogło dać miarę dobrej, uczciwej woli.

Woli takiej nie miał kanclerz od samego początku; w odezwie z d. 25 kwietnia posunął się po za granicę swych przekonań, zbyt skwapliwie przyznał „brak taktu“ i zobowiązał się działać, a gdy przyszło do działania, nie zdołał wydobyć z siebie woli potrzebnej, przemódz wstrętu, którym go przejmowały sympatye dla kierunku, potępianego właśnie przez rząd węgierski. Silne wystąpienie przeciwko Banffy'emu w *Polit. Corr.* d. 2 maja, mogło słusznie oburzyć węgrów, było bowiem jakby zrzucaniem z siebie ledwo co przyjętego obowiązku i dowodem złej wiary, usiłującej jeszcze oczernić stronę przeciwną. Zażegnanie dymisyi odręcznem pismem cesarskiem z d. 6 maja mogło się utrwalić jako ostateczne rozwiązanie tylko w tem przewidywaniu, że kanclerz naprawi już stanowczo to, co zepsuł, wyrzecze się oporu, podda obowiązkowi i zacznie nareszcie za pośrednictwem posła przy Watykanie działać w myśl odezwy z d. 25 kwietnia. Przewidywanie to zawiodło: Kalnoky ani przed słomianą zgodą z d. 6 maja, ani po niej działać nie myślał. Dnia 14 maja spostrzegł, że jedynem wyjściem ze sprawy będzie zupełne wyjście z urzędu, i podał się do dymisyi; miał ją już nazajutrz. Franciszek Józef już go wtedy nie zatrzymywał: dymisya była koniecznością.

Następca Kalnoky'ego znalazł się łatwiej i prędzej, niż ktokolwiek w Europie mógł się spodziewać, z wyjątkiem może samego Franciszka Józefa i byłego już dzisiaj kanclerza austro-węgierskiego. Nad wszelkie spodziewanie, już dnia 16 b. m. *Wiener Ztng* ogłosiła nominacyę Agenora br. Gołuchowskiego, mieszkającego we Lwowie, jakby na ustroniu, z daleka od społeczeństwa i nawet od „świata“ lwowskiego. Można było domyślać się: Kallaya, jakiego innego węgra, którego z wielkich ambasadorów; nikomu nie postał w głowie syn zmarłego przed dwudziestu laty twórcy patentu październikowego 1860 r., prezesa ministrów przedlitawskich i namiestnika Galicyi. Stała się tymczasem niespodzianka: ten, o kim nikt nie pomyślał, zwrócił nagle na siebie uwagę wszystkich. Cesarz zamianował go prezesem rządu wspólnego monarchii, ministrem spraw zagranicznych i ministrem dworu — zatem przelał nań wszystkie atrybucye kanclerstwa. Musiał znać jego siły, przymioty i zdolności —

mniej dotychczas znane światu; głównem bowiem stanowiskiem, na którem mógł je dać poznać nowy kanclerz austro-węgierski, było drugorzędne poselstwo w Bukareszcie. Właśnie z tego poselstwa hr. Gołuchowski w r. 1893 ustąpić musiał, jako za mało gorliwy węgier, a zbyt gorliwy rumun: nie wybierał więc Franciszek Józef osoby miłej węgrom.

Dnia 21 maja nowy kanclerz objął już swe urzędowanie. Jest to człowiek dopiero 46-letni, bogaty, ożeniony z księżniczką Murat — wykształcony, zimny a milczący. Chłód i milczenie to w dyplomacyi rzecz główna.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Proces Banffy *contra* Kalnoky zakończył się ustąpieniem kanclerza austro-węgierskiego ze wszystkich zajmowanych urzędów. Szczegóły takiego nieprzewidzianego rozwiązania — na innem miejscu. Ustąpi może i druga strona—p. Banffy, ale nie tak jeszcze prędko. Monsignor Agliardi ma pójść za Kalnokym. Wskazują już jego następcę: nuncyusza Bruxelli; ale sam o swem odwołaniu jeszcze nic nie wiedział d. 20 b. m.

Następcą Kalnoky'ego zamianował cesarz austryacki p. Gołuchowskiego Agenora, do r. 1893 posła w Bukareszcie, od dwóch lat blizko bez urzędowego zajęcia, we Lwowie.

Reforma wyborcza w Przedlitawii żółwim krokiem posunęła się do narad już konkretnych w podkomitecie.

Izba magnatów na Węgrzech odrzuciła nieznaczną wszakże przewagą głosów (114 przeciwko 109) wszystkie te artykuły projektu prawa o swobodzie, które pozwalają na bezwyznaniowość. Prawo o t. zw. recepcyi żydów w rozprawach ogólnych zebrało równą liczbę głosów za sobą i przeciwko sobie. Głos prezydenta przeważył uchwałę na stronę prawa. W głosowaniu nad poszczególnemi rozporządzeniami § 2, dozwalający przechodzić na żydowstwo, upadł 105 głosami przeciwko 94. Izba deputowanych będzie musiała ostatecznie przyjąć oba prawa w brzmieniu Izby wyższej, albo też rząd się przeprowadzenia ich wyrzeknie.

Delegacye zbiorą się w d. 6 czerwca. P. Gołuchowski, chcąc otrzymać od węgrów to, czego się nie spodziewał Kalnoky, będzie musiał do tego czasu poskarżyć się wreszcie na msgra Agliardiego w Watykanie. Jest to spadek po poprzedniku: odtrącać go nie może.

W Niemczech sejm cesarstwa po odrzuceniu całej „Umsturzvorlage“ w d. 10 b. m., odrzucił d. 15 b. m. wniosek wolnomyślnego Rickerta, aby tajemność głosowania wyborców lepiej zabezpieczyć przez czysto techniczne sposoby składania głosów.

Sejm pruski d. 15 b. m. rozbierał w Izbie deputowanych wniosek Centrum, postawiony przez Heeremana: o przywrócenie poręczających swobodę wyznań art. 15, 16 i 18-go konstytucyi pruskiej, które w kulturkampfie, w r. 1875, zniesiono. Większość odrzuciła to żądanie.

Sejm pruski zajmował się w ubiegłym tygodniu sprawozdawczym bimetalizmem: Izba panów zażądała wprowadzenia waluty podwójnej, poselska poprzestało na zaleceniu rządowi porozumienia się z mocarstwami o ten zbawczy środek.

Pogłoski o dymisyi p. Hohenlohego i Köllera zbija *Nord. Allg. Ztg.* Inne dzienniki odmawiają wszelkiej podstawy wieściom o dymisyi Böttichera, a zastąpieniu go przez Marschalla. Dopiero po uroczystościach w Kielu — zapowiedzi zmian nabiorą wyraźniejszych rysów.

Chińczycy pragną skorzystać z przyjaznych dla siebie stosunków dyplomatycznych, aby nie dać Japończykom również i Formozy. Najnowsze telegramy przynoszą rozkaz wydania; ale czy będzie on już nieodwołalnym? Pomiędzy mocarstwami działającemi a Japonią stanął jakiś układ, który wkrótce zapewne, w głównych przynajmniej punktach, przeniknie do wiadomości publicznej.

BADANIA NAUKOWE.

BEZWZGLĘDNE SZCZĘŚCIE

JAKO OSTATECZNY CEL LUDZKOŚCI

Ludzkości nie zbywało nigdy na prorokach różnego rodzaju. Jedni z nich, jak np. Falb, przepowiadają jej straszliwe klęski, a nawet ostateczną zatratę w niedalekiej przyszłości; inni, przeciwnie, każą jej spodziewać się wiecznej szczęśliwości i tę szczęśliwość malują z taką dokładnością szczegółów, jakby ją oglądali na własne oczy. Jednym z takich jest dr. Maksymilian Klein, współpracownik poważnego pisma niemieckiego *Naturwissenschaftliche Wochenschrift.*

Umieścił on w tem piśmie artykuł p. t.: „Aesthetik auf naturwissenschaftliche Grundlage,“ w którym zaznacza w zarysach obraz przyszłej szczęśliwości rodzaju ludzkiego, oraz wskazuje drogi do niej wiodące. Jak sam nagłówek artykułu świadczy, autor stara się być ścisłym w swych wywodach i nie wygłasza żadnego twierdzenia, które nie wypływałoby logicznie z powziętych przesłanek. Na nieszczęście, zapomina o tem, że cała wartość wywodów logicznych zależy od prawdziwości przesłanek. Zapowiedziawszy szumnie, że będzie się trzymał jak najściślej gruntu naukowego, na samym zaraz początku sprzeniewierza się sobie i występuje z twierdzeniem, o którego uzasadnienie bynajmniej się nie troszczy, uważając je jeżeli nie za dogmat, to w każdym razie za prawdę, nie potrzebującą dowodzenia.

Gdybyśmy chcieli wyrokować o usposobieniu dr. Kleina na podstawie samej tylko pewności, z jaką wygłasza swe twierdzenia, mielibyśmy prawo posądzać go o zarozumiałość, właściwą niedorostkom. Wyrządzilibyśmy mu tem jednakże krzywdę wcale niezasłużoną. Wyznaje on skromnie, że trzyma się ślepo wskazówek swego mistrza, Avenariusa, którego ogłasza za naj-

---

10)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 15.

Gdy Orla szybko pobiegła i otworzyła drzwi, wszedł Gotar. Pot mu skropił czoło, na którem troska wyorała bruzdy.

Gotar.

Nie wrócili?

Orla.

Nie.

Gotar.

Miałem jakąś nadzieję, że ich już tu znajdę.

Orla.

Co to znaczy, Gotarze?

Gotar.

O, to może bardzo wiele znaczyć. Naprzód, że zaszli daleko, a wracając podczas nocy, idą wolno... Powtóre...

Orla.

Co takiego?

Gotar.

W górach łatwo zmylić drogę...

Orla.

I wpaść w przepaść... Czy tak?

Gotar.

Zapewne, ale można spotkać się z drapieżnym zwierzem...

Orla.

Gotarze, tobie chyba doniesiono już coś złego.

Gotar.

To bym ich tu nie szukał.

Lida.

Mojo dziecko, nie trwóż się bezpotrzebnie. Gotar mówi tylko o najnieszczęśliwszych wypadkach.

Gotar.

Zdarzają się jeszcze gorsze.

Orla.

Jeszcze gorsze? Jakie?

Gotar.

Arjos mógł np. skłamać swoją życzliwość dla nas i wprowadzić Tylona w zasadzkę.

Orla.

On mnie poślubił!

Gotar.

Wielu by cię poślubiło na całe życie, a cóż dopiero na jeden dzień!

Orla.

Czy to tylko twój domysł?

Gotar.

Tylko, ale wobec niepewności tak dobry, jak każdy inny.

Orla.

Nieprawda, Gotarze. Ty również nie wiesz, dlaczego bogowie pozwalają istnieć złodziejom, a jednak nie przypuszczasz, że dlatego, ażeby z nimi dzielić się łupem; ty nie wiesz, dlaczego twoja matka umarła, a jednak nie przypuszczasz, że ją skrycie otruł twój ojciec; ty nie wiesz, dlaczego śnieć wyżera zboża, a jednak nie przypuszczasz, że ją sieje królowa. Czemuż więc o zdradę posądzasz Arjosa?

Gotar.

On nie jest człowiekiem naszym.

Orla.

Nie jest waszym, chociaż go usynowiliście? Niech tak będzie! Ale jest moim. Wy znacie jego ciemne włosy, szare oczy, prosty nos, a ja przez pół roku patrzyłam w jego duszę, która nie ma dla mnie żadnej tajemnicy.

Gotar.

I ty słuchałaś tylko jego słów, jak wszyscy, a nie widziałaś duszy.

Orla.

Czy ty mu nie ufałeś, kiedy z nim mnie łączyłeś a Tylona wysyłałeś na zwiady? Czy może potem bogowie ostrzegli cię z nieba? Czy ktoś cię wywiódł z błędu?

Gotar.

Nie.

Orla.

Nie? A pomimo to masz w pogotowiu kamień na mojego Arjosa? Oj, Gotarze, lekko ten kamień waży w twojej ręce ale zbyt ciężko spada w moje serce. Arjo

większego z filozofów. Naturalnie, że dla uczniów, nie zdolnych myśleć samodzielnie, każdy mistrz jest największym, szczególnie, gdy go nie rozumieją. Spierać się więc z nim o to, czy rzeczywiście Avenarius jest największym filozofem — nie myślę. Dodam tu tylko, że zamiarem dr. Kleina jest wypełnienie swą rozprawą luki, jaka się znajduje w systemie Avenariusa, który, roztrząsając wszystkie zagadnienia wiedzy ludzkiej, pominął milczeniem pytania, dotyczące estetyki.

Dr. Klein, przystępując do swej rzeczy, zapowiada z góry, że w metafizykę bawić się nie będzie, że dla niego jedyną prawdą bezwzględną jest fakt, że zatem wszelki relatywizm, zakreślający poznaniu ludzkiemu jakieś granice, jest błędem, którego jedynem źródłem są przesądy metafizyczne, upatrujące po za faktem coś, co nim nie jest, a co jednakże jest od niego czemś prawdziwszem. Odrzucając w ten sposób nietylko świat nadzmysłowy, ale i zazmysłowy, przyznaje on rozumowi zdolność bezwzględnego poznania — i powiada, że całe zadanie filozofii polega na *opisaniu* faktu. Rzecz prosta, że skoro uznajemy, iż fakt jest prawdą bezwzględną, że sam w sobie zawiera dowody swej prawdziwości, to musimy się zgodzić, że samo opisanie faktu wystarcza najzupełniej do bezwzględnego jego poznania.

Określiwszy swe stanowisko i zabezpieczywszy się od wszelkich nieporozumień, przystępuje autor do wyszukania wśród faktów takiego, któryby mu mógł posłużyć za niezachwiany fundament dla jego wywodów logicznych. Takim jest *postęp* ludzkości, jako prawda bezwzględna, widoczna i nie potrzebująca dowodzenia. Jaki jest ostateczny cel postępu? Zupełne szczęście ludzkości! Jest to drugi fakt, bezwzględnie prawdziwy. Zachodzi teraz pytanie: jakie są warunki tego szczęścia i jakiemi drogami podąża ludzkość do ich zdobycia? Warunkiem przyszłego szczęścia ludzkości jest bezwzględna równowaga.

Jak widzimy, autor nie skąpi wszelakich bezwzględności. Tym razem jednakże powstrzymuje się od dokładnego *opisania* faktu, a mianowicie nie mówi nam nic o tem, co ma być równoważnem, na czem ta równowaga ma polegać. Pod tym względem pozostawia autor swych czytelników w niepewności, czy potrafi ludzkość dzięki bezwzględnemu poznaniu sił przyrody zapewnić jednostkom nieśmiertelność cielesną. Zdawałoby się, że taka nieśmiertelność jest nietylko możliwą, ale nawet konieczną w tych warunkach, jakie autor zakreśla przyszłemu szczęściu rodzaju ludzkiego.

Dwie są drogi, wiodące ludzkość do osiągnięcia bezwzględnej szczęśliwości: wiedza i sztuka. Wiedza prowadzi nas do bezwzględnego poznania rzeczy, a zatem do zupełnego panowania nad niemi; sztuka — symbolizując ideały przyszłości, dostarcza nam wzorów, podług których mamy urządzać stosunki życiowe i odpowiednio temu korzystać z sił przyrody.

Uczucie piękna, leżące w podstawie wszystkich rodzajów sztuki, różni się od zwykłych uczuć i namiętności tem, że jest wyrazem dążenia duszy do najwyższej doskonałości. Jest ono przeto natury czysto umysłowej i wiąże ludzkość z przyszłością, przypominając ostateczne jej przeznaczenie, jakiem jest szczęście bezwzględne. Wszystkie inne uczucia i namiętności mają swą przyczynę w braku równowagi zupełnej. Są one natury czysto zmysłowej i łączą człowieka z przeszłością i obecnością. Nie są one zgoła czynnikami postępu; przeciwnie, stają się dla niego zawadą, gdyż one to właśnie podtrzymują w ludzkości tradycyjne formy życia, pomimo że przestały odpowiadać potrzebom czasu.

Równowaga bezwzględna, będąca warunkiem szczęścia ludzkiego, nie pierwej się ustalić zdoła, aż rozum pozna prawdę bezwzględną i ideały piękna będą wcielone w formy życia. Pierwszym skutkiem ustalenia się równowagi bezwzględnej będzie zanik uczuć i namiętności, których jedyną przyczyną, jak utrzymuje autor, jest brak równowagi. Będzie to zatem zupełna obojętność, w której człowiek nie dozna ani przykrości, ani przyjemności. Jednocześnie kończy się zadanie wiedzy i sztuki. Rozum ludzki, posiadając prawdę czystą, stanie się bezczynnym, wszelkie bowiem badania naukowe będą niepotrzebne. Cała literatura naukowa składać się będzie co najwięcej z podręczników szkolnych, wykładających dla młodzieży w sposób dogmatyczny prawdy z różnych zakresów wiedzy ludzkiej.

Podobnież ze sztukami. Życie ludzkie będzie urzeczywistnieniem wszystkich ideałów piękna, samo stanie się pięknem bezwzględnem, więc fantazya twórcza nie znajdzie w niem żadnych pobudek do działania, straci racyę swego bytu. Ani poezya, ani muzyka, ani malarstwo nie będą więcej uprawiane, gdyż nie potrafią dorównać piękna rzeczywistemu — życiu; będą one zaledwie słabą jego kopią, i jako takie, nie zajmą nikogo. Nietylko więc w zmysłowej sferze życia, ale i w umysłowej zapanuje zupełna obojętność. Autor ratuje się od tej ostatniej konsekwencyi, twierdząc, że aforyzm Lessinga, powiadający, iż większa jest rozkosz w dążeniu do prawdy, niż jej posiadaniu — jest błędny, że przeciwnie, prawdziwa rozkosz, niczem nie zamącona i trwała, może pochodzić tylko z przeświadczenia, że się doszło do poznania prawdy czystej.

Jeżeli się zgodzimy z powyższem zdaniem autora, w takim razie przepowiadane przez niego szczęście ludzkości, przedstawi się nam w sposób następujący: Człowiek, pozostając obojętnym na wszystko, co się dzieje wkoło niego, na wszelkie zmiany zewnętrzne i wewnętrzne, będzie doznawał rozkoszy w tych tylko chwilach, gdy odda się rozważaniu prawdy bezwzględnej. Będzie to zatem rozkosz czysto kontemplacyjna, która, gdyby nawet zawsze doznawana była w tem samem natężeniu, nie mogłaby stanowić bezwzględnego szczęścia, gdyż następowałaby w pewnych tylko chwilach, przedzielonych mniej lub więcej długimi okresami obojętności. Zważywszy dalej, że rozkosz tej samej natury nie może trwać długo w jednakiem natężeniu, że powtarzając się często, traci na swej sile i świeżości i staje się w końcu obojętną, musimy dojść do wniosku, że owe bezwzględne szczęście, jakie nam dr. Klein przyrzeka, nie będzie niczem więcej, tylko zupełną obojętnością. Przypuszczając nareszcie, że ów stan kontemplacyi będzie trwały, stanie się on czemś w rodzaju hypnozy, przeobrażającej człowieka w automat, albo buddyjskiej ekstazy, w której człowiek zatraca poczucie swego *ja* i rozpływa się w Nirwanie.

---

się kochany, przybądź co prędzej, niech podejrzenia przestaną kłuć twoje imię!

Gotar.

Bodajby twoja wiara okazała się słuszną, a moja wątpliwość niesprawiedliwą! Tak pragnę tego, że gdy tu Arjos stanie, pochylę moją siwą głowę kornie do nóg jego. Ty bronisz niewinności męża, a ja bezpieczeństwa ludu, który jest moim ulubieńcem, którego od lat wielu strzegę, jak ojciec dzieci. Ród Arjosa jest rodem szakalów, a od chwili, gdy spojrzał na nas pożądliwemi ślepiami i odsadził się do napastniczego skoku, nie ufam nikomu, w kim jego drapieżna krew płynie. Cały wieczór przepędziłem nad brzegiem rzeki, wypatrując Arjosa i Tylona. Cieszyłem się każdym szelestem, witałem radośnie każdą majaczącą postać w nadziei, że oni się zbliżają; noc już przebiegła połowę swej drogi — a ich niema. Szalonym wirem otoczyły mnie złe przeczucia, uciekłem przed ich pogonią i szyderczym śmiechem. Cała osada śpi, ja tylko jeden w niej czuwam, jak drop na czatach drzemiącego stada. Niepokój pogniótł mi w głowie wszystkie myśli. Nie mogąc go zwalczyć, schroniłem się do was, ażebyś go odegnała ode mnie swoją wiarą w Arjosa. Dziękuję ci za nią, jestem spokojniejszy. Spieraj się ze mną, Orlo, chłoszcz mnie każdem słowem oburzenia, wyrzucaj mi niegodziwe domysły: wolę to, niż wątpliwość. Dobrze, dzieweczko, dobrze, żeś się oparła moim podejrzeniom. Przekonywaj mnie, ile umiesz, że twój Arjos jest dobry, prawy, do ciebie i do nas przywiązany!

Orla.

On tak niedostępny przewrotnym zamiarom, jak bóg grzechom. Może złe obchodziło go zdaleka, ale nie zbliżyło się do niego nigdy i nie rzuciło mu pokusy. On was wszystkich szczerze umiłował. Żegnając się wczoraj ze mną, rzekł mi: niech bogowie zazdroszczą sobie wzajem rozkoszy obdarzania dobrodziejstwami twojego rodu za to, że mi dał ciebie... A do matki mojej powiedział: tyś matką mojego szczęścia...

Lida.

I całował mi nogi ze łzami...

Gotar.

Jakże mi lekko po tych waszych zapewnieniach! Teraz już tylko przypuszczam, że nasi chłopcy zbłądzili.

Lida.

Trzeba wysłać ludzi z pochodniami.

Gotar.

Właśnie o tem myślałem. Oprócz pochodni dam im trąbki i każę grać sygnały, znajome Tylonowi.

Orla.

Ja z nimi pójdę.

Lida.

Nie, Orlo, to jest niepodobne.

Gotar.

Zamiast pomagać, zawadzałabyś im.

Orla.

Gdyby można było włożyć w trąbkę mój głos, Arjos by go zaraz usłyszał.

Gotar.

Wy połóżcie się spać, bo już zaniedługo noc zwinie swoje skrzydła i odleci.

Orla.

Niech ta czarna szatanica opuści ziemię co prędzej. Gdy po niej przybędzie biały dzień, powitam go jak anioła.

Lida.

We śnie tęsknota się kurczy, w czuwaniu — rozciąga. Jesteś znużona, moje dziecko, połóż się...

Gotar.

Więc idę zbudzić kilku chłopców. Życzę wam dobrego jutra.

Lida.

I my tobie, Gotarze.

Widok 10.

Orla usłała sobie łóżko, odwiązała sandałki i zdjęła zwierzchnią tunikę. Kaganek, jak gdyby chcąc lepiej przyjrzeć się jej urokom, odsłonionym na ramionach i stopach, błysnął żywszym płomieniem. Usiadła na łóżko i złożyła błagalnie ręce.

Orla.

Dobry duchu, patronie serc kochających, rozkaż jednej gwiaździe, ażeby spadła na ziemię i znaczyła drogę Arjosowi. Uczyń go niewidzialnym dla złych ludzi i zwierząt i przyprowadź do mnie. On ci za to podziękuje pieśnią, a ja codzienną modlitwą. Wysłuchaj prośby mojego czystego serca i zamień w niem łzy żalu na łzy radości. Dobry duchu, niech twoje wielkie

Jeżeli stan tego rodzaju uważa autor za szczęście, w takim razie życzymy mu jak najrychlejszego dostąpienia go; będzie to miało przynajmniej ten skutek, że uwolni czytającą publiczność od elukubracyj naukowych na temat różnorakich bezwzględności, które, ściśle rzecz biorąc, nie są czem innem, tylko niedorzecznością. Prawić o poznaniu bezwzględnem jest to zapominać, że poznanie jest stosunkiem swego rodzaju podmiotu do przedmiotu i jako takie musi być względnem; twierdzić, że bezwzględny postęp ludzkości jest faktem, znaczy nie znać dziejów powszechnych, które nam dowodzą, że rozwój ludzkości nie jest ciągłym, gdyż zachodzą w nim nieustanne falowania, ani też nie dokonywa się w jednym kierunku, gdyż mieliśmy już kilka cywilizacyj, po których tylko wspomnienia pozostały. Utrzymywać zaś, że ostatecznym celem postępu jest bezwzględne szczęście ludzkości, jest to zabawiać się tanim kosztem w jasnowidzącego proroka. Jaki jest ostateczny cel wszelkiej rzeczywistości, a zatem i życia ludzkiego, na to pytanie niepodobna nam dać jakiejkolwiek odpowiedzi, gdy zbywa nam po temu na koniecznych faktach. Co się zaś tyczy bezwzględnej równowagi, która ma być warunkiem szczęścia, jak utrzymuje autor—to powiem o niej tylko tyle, że zamiast być warunkiem szczęścia, jest ona właściwie warunkiem śmierci. Istotę życia stanowi ruch, ciągła zmiana życiowego rytmu. Równowaga zaś bezwzględna jest ustaniem ruchu, a więc i zmian życiowych—jest śmiercią.

Dr. Klein ogłasza siebie za ucznia Avenariusa. Nastręcza się więc pytanie: czy jest on rzeczywiście wiernym tłomaczem myśli swego mistrza?

Nie znam filozofii Avenariusa i dlatego bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie dać nie mogę. Opierając się atoli na fakcie, że Avenarius jest uważany powszechnie w Niemczech za powagę, można śmiało powiedzieć, że p. Klein, jak to najczęściej bywa z gorliwymi uczniami, wypacza mimo woli i wiedzy zasady swego mistrza, wypacza zaś przez to, że w swych wnioskowaniach z danych przesłanek nie umie zatrzymać się u właściwego kresu, lecz dociera w nich do ostatecznych konsekwencyj, zapominając, że każda zasada, pojmowana bezwzględnie, w oderwaniu od stosunku z innemi zasadami, jest abstrakcyą, której ostateczne wyniki muszą stać się niedorzecznością wobec rzeczywistości, ściśle uwarunkowanej w swych objawach, i, co za tem idzie, przeciwnej wszelkiej bezwzględności.

Władysław Kozłowski.

LECZENIE RAKA.

Odczytawszy w pismach codziennych dwa telegramy o pomyślnem zastosowaniu nowych środków leczniczych, usuwających raka, nie uważaliśmy za stosowne powtarzać tej wiadomości na oślep za innymi, tem bardziej, że pisma nasze lubią skwapliwie podchwytywać wszelkie sensacyjne odkrycia, i biorąc samo przypuszczenie za fakt dokonany, rzucają je na strawę swoim czytelnikom, nie zastanawiając się nad tem, jak straszną im nieraz krzywdę wyrządzić mogą rozbudzaniem nadziei i otuchy, po których rozwianiu ciężkie i wszechwładne zapanowywa pognębienie. Tak było z „radykalnem“ leczeniem suchot i innych chorób zabójczych. Zachowując ostrożność względem takich fajerwerków i wiedząc, jak wielką daninę śród ludzkości rak zabiera, czekaliśmy cierpliwie poważnych głosów specyalistów i doniesień z pewnych źródeł. I oto mając dzisiaj to dane, kreślimy pobieżnie rezultat nowej zdobyczy w nauce lekarskiej *).

Najświeższe wieści pochodziły jednocześnie z Niemiec i Francyi, głosiły zaś, że raki i mięsaki można usuwać za pomocą stosowania swoistej surowicy krwi. Metoda francuska różni się od niemieckiej, obie wszakże są oparte na surowicy krwi, zachodzi tylko znaczna różnica w jej otrzymywaniu. Krótka wiadomość rozbiegła się po świecie od Richet'a, Terrier'a i Reclus'a, obszerną zaś pracę w Niemczech już ogłosili prof. Rudolf Emmerich i Herman Scholl („Klinische Erfahrungen über die Heilung des Krebses durch Krebsserum“ w *Deutsche med. Woch.*).

Pogłoski na razie tem mniej należało brać z dobrą wiarą, że już w ostatnich kilku dziesiątkach lat były różne usiłowania w tej mierze, na pozór dające nadzieję zdobycia broni radykalnej przeciwko strasznej chorobie; wyniki wszakże zawiodły nieco oczekiwania. Wielu poważnych klinicystów i badaczów francuskich, angielskich, tudzież niemieckich, zwróciło uwagę na fakt, że wskutek przyłączenia róży zdarza się szybkie wyleczenie z mięsaka i raka. Fehleisen i Neisser, opierając się na tem, w ciężkich objawach nowotworu szczepili czyste, jadowite hodowle koków róży i otrzymywali w pewnych razach wyniki pomyślne. Metoda owa atoli obok skuteczności była niebezpieczną (w jednym wypadku przyprawiła ona o śmierć chorego). Wiliam B. Coley wyszedł z tej samej zasady, co dwaj powyżsi specyaliści, zmienił tylko sposób: zamiast czystych, jadowitych koków róży, wstrzykiwał do 100° C. ogrzane hodowle bulionowe koków róży, albo płyn, otrzymany z przecedzenia owych hodowli przez filtr Kitasato'a. Rezultaty były bardzo pomyślne. Jeszcze zaś lepsze dawał płyn z mieszaniną hodowli koków róży i *bacilli prodigiosi*. (Ten ostatni laseczník ma podobno zwiększać jadowitość poprzednich). Coley utrzymuje, że przy leczeniu mięsaków rezultaty mogą być pomyślniejsze, aniżeli przy rakach.

Prof. Emmerich jeszcze w r. 1886 wykazał, że róża leczy zarazę wąglikową i że w tych razach zabójcze działanie na laseczniki wąglika zależy nie bezpośrednio od samych koków róży, ale od zmian, jakie one we krwi wywołują. Mnóstwo doświadczeń przekonało, że zarazę wąglikową leczy nietylko hodowla koków róży, ale i surowica krwi, pochodząca od zwierząt, którym poprzednio zaszczepiono różę. Na mocy tych wszystkich danych, specyaliści doszli do wniosku, że koki róży wywołują we krwi zmiany, pomyślnie działające na nowotwory rakowate. Chcąc przyjść do pewnych wyników, należało na ludziach chorych wypróbować przeciwrakową surowicę krwi. Prof. Emmerich otrzymuje ją z owiec w sposób następują-

*) Na podstawie pracy d-ra Wiktora Grosterna w *Gazecie lekarskiej*.

---

miłosierdzie spojrzy w moją smutną miłość!

Skłoniła głowę i zamilkła.

Lida.

Uśnij, dziecinko, bogowie cię nie skrzywdzą. Arjos jeszcze przed świtem nadejdzie. Rozpalę ogień i ugotuję mu mleka, bo pewnie będzie głodny.

Orla.

O tak, wziął z sobą kawałek chleba, ale mu to na cały dzień nie wystarczyło. Jaki ten ogień jest zawsze żarłoczny: patrz, mateczko, jak on chwyta drzewo, gryzie, pożera, warczy i syczy. Nigdy nie dotknie łagodnie — zawsze ukąsi. Ja go się boję... Woda poczciwsza: głaszcze, pieści...

Lida.

Ale zdradliwsza od niego: pieszczotami zwabi i utopi.

Orla.

Nie, ja ją wolę... Po co ludzie wymyślili drapieżny ogień?

Lida.

Bogom wypadł z nieba, ludzie go znaleźli i nie oddali.

Orla.

Posłuchaj, mateczko, jak drzewo, ginąc, skarży się...

Lida.

Śpij, Orlo kochana.

Orla.

Już mi się mrużą powieki... Czemu ja się trwożyłam? . Arjos wraca zdrów i wesół... Widzę go doskonale... Świętojańskie robaczki lecą przed nim długą wstęgą i wskazują mu drogę... On do nich śmieje się, łapie je w garść i puszcza, a one znowu rozpościerają swe skrzydła i świecą. Gdzie Tylon? Wyprzedził go, czy pozostał w tyle?..

Lida.

Przestań mówić, bo nie uśniesz.

Orla.

Zaraz, mateczko. Widzę już i Tylona... Co on dźwiga? Upolował jakiś duże zwierzę... Dlatego idą powoli... Powinien rzucić ten ciężar i nie spóźniać się. Nie, niech go już doniesie... niedaleko. Brzydkie robaczki świętojańskie — znikły... Ciemno... A, nie!.. Przed Arjosem fruwa ogromny motyl, który błyszczy, jak gwiazda... Dobry bóg go zesłał.

Lida.

Orlu, ty jeszcze nie śpisz?

Orla.

Dobrze mi, mateczko, takie śliczne przesuwają się widoki... Arjos spostrzegł mnie... twarz mu się rozpromieniła.... Skoczył! Wolno, wpadniesz w wodę!.. Przecież u brzegu czeka na was czółno!.. Wsiedli... Tylon zdjął z ramion swą zdobycz... Jakiż on blady ze zmęczenia... Jadą... już jadą...

Lida.

Moja dzieweczko, śpij.

Orla.

Robią wiosłami, a czółno się nie porusza .. ugrzęzło w piasku... Zepchną je... Nareszcie ruszyło się... Płyną... Ach, jakże ta rzeka dziś szeroka!.. Ciągle są na środku... Czyżby tam była mielizna?.. Co to?.. Przyleciał do rzeki olbrzym z ognia, położył się na brzegu i pije ją... pije... On całą wypije... Woda już opada, ledwie cienką warstewką na dnie leży... Mateczko, wypił!

Krzyknąwszy, usiadła na łóżku wylękniona.

Lida.

Tem lepiej, przejdą suchą nogą.

Orla.

Ten olbrzym jest przerażający.

Lida.

Nie jest, ale był, bo z widzeniem twojem zniknął.

Orla.

Wpadł potem do naszej osady... Mateczko, ja nie śnię... Słychać jakąś wrzawę... To on!

Lida.

Zdaje ci się...

Orla.

Nie!

Lida.

Czy przygłuchłam? Wyjdę przed dom i zobaczę.

Gdy Lida otworzyła drzwi, wdarł się przez nie potok łuny pożarowej, a za nim fale zmieszanych głosów, które nabrzmiewały coraz silniej i rozlegały się coraz szerzej.

Orla.

Widzisz, że on tu jest.

Lida.

Pali się gdzieś dom... może nawet kilka... Pobiegnę i dowiem się... Zaraz wrócę, moje dziecię...

(D. n.)

cy: zwierzęciu zaszczepia hodowlę róży, potem wypuszcza jego krew do naczyń wyjałowionych. Po pewnym czasie należy za pomocą pipety odciągnąć surowicę, oczyścić ją z koków róży, cedząc przez filtr Chamberlanda lub d'Arsonvala. Taką surowicę stosowali Emmerich i Scholl przez pół roku. Wyniki dotychczasowe są uważano za „względnie bardzo pomyślne.“ Powyżsi uczeni zastrzegają jednak, że metoda ich jest zaledwie w początkowym okresie rozwoju, iż dalsze badania i spostrzeżenia kliniczne mogą wprowadzić wiele ulepszeń, a w przyszłości może się uda z surowicy otrzymać czystą substancyę, która wywiera owo swoiste lecznicze działanie na nowotwory. Dotąd pomyślne rezultaty dawało tylko stosowanie owego środka przy rakach skóry, tudzież gruczołów. Nie można więc przewidzieć, czy wszystkie rodzaje tej choroby dadzą się w ten sposób usunąć. Zdaniem specyalistów, działanie tu więcej zależy od czasu trwania raka. Im wcześniejsze leczenie, tem pewniejszy skutek.

Tymczasowo surowica przeciwrakowa będzie stosowana głównie przy nowotworach zadawnionych, niemożliwych do operacyi, chociaż odpowiedniejszą jest metoda do usuwania świeżych raków i mięsaków. W takich właśnie wypadkach, zdaniem Emmericha i Scholla, niezależnie od operacyi, która zawsze będzie najważniejszą, surowica w przyszłości da się stosować głównie w tym celu, ażeby organizm ochronić przed nawrotami, czemu operacya najczęściej zapobiedz nie może. Wyrabianiem surowicy przeciwrakowej zajmują się profesorowie Emmerich i Scholl i chętnie wysyłać je będą lekarzom, którzy się zwrócą do nich pod adresem: „Dr. Scholl. Thalkirchen bei München.“

Doniesienia z Francyi nie są dotychczas wyczerpujące. Oto szczegóły, według sprawozdania dr. Grosterna w *Gazecie lekarskiej*: Dn. 9 lutego r. b. Reclus usunął na drodze chirurgicznej nowotwór kończyny dolnej—*osteo-sarcoma*. Guz ten roztarto na papkę, do której dodano trochę wody, poczem płyn, odpowiednio przefiltrowany, wstrzyknięto trzem zwierzętom (osłu i dwu psom). Po pewnym czasie (5, 7, 15 dni) wypuszczono krew i zebrano surowicę przeciwrakową. A oto przykład leczenia tym środkiem: U pewnej kobiety w ośm miesięcy po usunięciu nowotworu (*fibro-sarcoma*) wielkości pomarańczy z okolicy VI, VII i VIII żebra, zjawiła się recydywa w postaci guza, wychodzącego z blizny i bardzo szybko rosnącego. W lutym r. b. ten guz nawrotowy był wielkości orzecha, a na początku marca wyrósł już do rozmiarów małej pomarańczy. Przez 40 dni codziennie wstrzykiwano po trzy ctm. sześcienne surowicy do tkanki łącznej podskórnej w otoczeniu guza, który stopniowo znacznie się zmniejszył. W drugim wypadku przy raku żołądka zastosowano również surowicę powyższą. Po kilkunastu dniach ogólny stan chorego znacznie się poprawił, a guz, wielkości pomarańczy, tak się zmniejszył, że zaledwie wyczuć go można.

Pomimo tych faktów, dość pocieszających, poważni specyaliści dotychczas są bardzo powściągliwi w wyrażaniu wielkich nadziei, co oczywiście tem większe zaufanie wzbudza do nowych odkryć. Próby półroczne jeszcze nie dały ani odpowiedniej sumy faktów, ani doświadczenia. Wobec wszakże świetnych wyników z leczenia surowicą dyfterytu, można wnosić, że okres surowicowy w medycynie będzie w wielu razach zbawiennym dla ludzkości i uwolni ją od chorób, dziś bezwarunkowo zabójczych. Środek przeciwrakowy zaledwie jest wypróbowany. Czekajmy więc cierpliwie w dalszym ciągu badań i udoskonaleń i jednocześnie nie dajmy się zanadto otaczać różowemi mgłami nadziei, dopóki wyjątkowe wypadki uzdrowienia nie staną się powszednimi.

D. Z. M.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

KRZYSZTOF MARLOWE.

I. J. A. Symonds: *Shakespeare's predecessors in the English drama.* — H. Bullen: *The works of Christopher Marlowe.*

Niedawno Oscar Wilde, najbardziej utalentowany przedstawiciel „estetyzmu,“ najmłodszego kierunku literatury angielskiej, wyraził się—może nie bez chęci ściągnięcia uwagi efektownem bluźnierstwem—iż Marlowe jest poetą daleko większym, niż Shakespeare. Swinburne, sędziwy przedstawiciel poprzedniego pokolenia, nie posuwa się tak daleco w swem uwielbieniu, jednak i on się zgadza, iż żadna literatura nie może wystawić dwóch, trzech mistrzów większych, niż Marlowe. Literatura krytyczna staje się także z dniem każdym bogatszą w hymny pochwalne. Zamiłowanie do Marlowe'a objaśnia się pokrewieństwem nastrojów duchowych poety i obecnego pokolenia, również jak tajemnicą, która otacza jego losy i osobistość. Usłużności przyjaciół zawdzięcza, iż zostawił po sobie sławę rozpustnika. Z drugiej strony w dziełach jego czuć duszę złamaną, agonię sumienia. Nie wiadomo, jakie rany uczuciowości doprowadziły go do tego stanu, ale w tem wszystkiem zawiera się czarujący poemat dla podrażnionej ciekawości. Shakespeare, pomimo wszystkich swych wybryków, przedstawia sobą człowieka z gruntu uczciwego. W swych sądach i poglądach na zło i dobro nie czujemy u niego żadnych wahań. To może było przyczyną, iż skończył awanturnicze swe życie jako bogaty i spokojny fermer, gdy natomiast Marlowe umarł od pchnięcia nożem, które otrzymał w szynkowni o jakąś kobietę.

W zgodności z tym końcem—i z duchem jego dzieł—lubiano go przedstawiać, jako kapłana rozpusty, który maczając rękę w piwie i skrapiając licznych towarzyszów, zaprasza ich do uczty życia temi mniej więcej słowy: „Natura nam dała oczy dla spoglądania na karki zgarbione otaczających nas tłumów, uszy—dla słuchania, nie jęków żałobnych, lecz westchnień miłosnych i krzyków rozkoszy, ręce—dla chwytania władzy, dla pieszczenia szyj łabędzich i piersi marmurowych, nogi — dla pędzenia na schadzki miłosne, tratowanie koronek, zdjętych w pośpiechu i gorących jeszcze płomieniem przezwyciężonego wstydu, wyobraźnię—dla marzeń rozkosznych.“

Ambicya stanowiła siłę najpotężniejszą tej duszy. Jego Tamerlan powiada: „Natura, tworząc nas z czterech pierwiastków, które walczą o pierwszeństwo, nauczyła nas wszystkich mieć dusze ambitne. Nasze duchy, które zdolne są pojąć dziwną budowę świata, wymierzyć bieg każdej błędnej planety i potem jeszcze dążyć do wiedzy bez końca; nasze duchy, które są wciąż w ruchu, jak sfory niezmordowane—zmuszają nas do ciągłego trawienia się w sobie i nie dają nam spokoju, dopóki nie osiągnęliśmy owoców najbardziej dojrzałych rozkoszy, tej korony życia.“ Ambicya jest główną sprężyną tej i innych tragedyi autora.

O miłości Marlowe mało pisze, ale z tego co zostawił wolno wnosić, że on, przerabiając aforyzm Descartes'a, mógłby powiedzieć: „Amo, ergo sum.“

Dodajmy, iż poeta angielski jest pełen namiętności wiedzy, która nie ma żadnych granic. Pała żądzą poznania nowych krajów i oddalonych widnokręgów, zgłębienia tajników przyrody i nieba. Działało tu niewątpliwie odkrycie Ameryki i przygody wielkich awanturników, którzy puszczali się pod nieznane gwiazdy.

Znikły mury, które otaczały świat średniowieczny. Stał się on daleko szerszym i zarazem bardziej tajemniczym, bardziej rozkosznym. Stąd ta pożerająca potrzeba czynu, to zamiłowanie rzeczy niebezpiecznych i niemożliwych. „Szczęście, którego pożądam—powiada jeden z bohaterów Marlowe'a—jest to, które się znajduje zbyt wysoko dla mnie.“

Nareszcie Marlowe kochał i znał głęboko starożytność. Niektóre jego poematy (Hero a. Leander) świadczą o doskonałym smaku artystycznym, wykształconym na najlepszych wzorach klasycyzmu. Niestety, artysta daleko częściej dawał swobodę nieokiełznanym popędom temperamentu, niż kierownictwu smaku—prawdopodobnie odpowiadał w ten sposób wymaganiom galeryi—i dlatego tragedye noszą często, jak w „Tamerlanie“ lub „Żydzie Maltańskim,“ charakter melodramatów. O zaletach tych dzieł możemy wszakże sądzić z tego, iż ostatnie służyło za wzór dla „Kupca Weneckiego,“ tak samo jak „Richard II“ dla Shakespearowskiego „Richard III.“ We wszystkich tych dramatach odnajdujemy wyżej scharakteryzowane cechy talentu Marlowe'a, ale one go nie wyczerpują. Zupełnie inne struny potrąca poeta w „Fauście,“ najlepszem, a przynajmniej najbardziej charakterystycznem swem dziele. Sztuka Marlowe'a jest rozdzielona na 13 scen, z chórem, który rozpoczyna akcyę, objaśnia jej rozwój i wyciąga wnioski. Jest to, właściwie mówiąc, jeden długi monolog Fausta, w którym ta postać przepysznie się zarysowuje. Pierwsza scena, gdzie doktor, zamknięty w swej pracowni, skarży się na próżność nauki i ograniczone jej zakresy, była wzorem, którego później trzymał się Goethe.

„Określ przedmiot twych studyów, Fauście, i zbadaj głębię tego, co chcesz wykładać. Pomimo, iż jesteś doktorem teologii, przyznasz, że wiedza ma jeden tylko cel: będziesz żył i umrzesz w dziełach Arystotelesa... Dobrze dyskutować—czyż to najwyższe zadanie nauki? Czyż ona nie może nam ofiarować żadnego cudu większego? A więc nie czytaj więcej; dopiąłeś celu; duch Fausta jest stworzony nie dla takich przedmiotów.“

Faust ma olbrzymie żądze, genialne fantazye, kaprysy królewskie; chce mieć wszystko i wszystko wiedzieć. Tu wyrażono są wszystkie aspiracye ducha nowożytnego. Jego żądze są nieskończone, on wątpi, czy nawet szatan zdoła je zaspokoić.

„Czy zdołam zmusić duchy do dostarczenia mi wszystkiego, czego mi potrzeba? do rozstrzygnięcia wszystkich mych zwątpień, do wykonania najbardziej odważnych pomysłów? Poślę ich do Indyi po złoto, każę przetrząsnąć dno Oceanu dla zdobycia mi perły wschodniej, i wszystkie kąty Nowego Świata — dla owoców rzadkich i książęcych przysmaków. Wtajemniczą mnie w najgłębszą filozofię i odkryją sekrety wszystkich królów cudzoziemskich. Na mój rozkaz otoczą całą Germanię ścianą z bronzu i z bystrego Renu zrobią pas dla pięknej Wittenbergi. Napełnię szkoły publiczne szelestem jedwabiu, w który przyodzieję studentów. Nabiorę żołnierzy, wypędzę księcia Parmy z naszego kraju i będę królował w nim niepodzielnie.“

Faust sprzedaje swą duszę Mefistofelesowi za 24 lata nieograniczonej wiedzy,

władzy i użycia. Przebiega świat, siejąc po drodze farsy i cuda. Z Wittenbergu, gdzie był profesorem, udaje się do Rzymu, mistyfikuje papieża i kardynałów, porywa anty-papieża i przenosi na dwór cesarski i daje książętom niemieckim dowody swej potęgi magicznej. Ale życie czynu nie wystarcza, potrzeba mu marzenia i wiedzy. Z opowieści chóru dowiadujemy się, iż starał się „widzieć rzeczy najrzadsze," iż wspiął się na szczyt Olimpu, aby słyszeć Homera i Orfeusza, iż wywołał podziw świata całego głęboką swą wiedzą. Wszystko to nie jest tak szczególowo opracowane, jak u Goethego; rozmowy Fausta z Mefistofelesem o teologii i metafizyce, są daleko głębsze i ciekawsze u niemieckiego mistrza, ale całą psychologię typu znajdujemy już u Marlowe'a. On pierwszy wysnuwa z legendy ludowej całą alegoryę, którą ona zawiera, wszystkie poloty ducha nowożytnego i przez związek mistyczny Fausta z Heleną symbolizuje Odrodzenie, które połączyło ducha średnich wieków z duchem starożytności. Goethe daleko głębiej rozwinął ten temat, ale tu już znajdujemy go w zalążku. Marlowe natchnął swego bohatera miłością ku pięknu, którego siedliskiem była Grecya. Gdy Helena, wywołana mocą zaklęć, zjawia się, Faust woła: „Oto twarz, dla której popłynęły tysiące statków—i spalone zostały mury Ilionu, ginące w obłokach!—Boska Heleno, jeden twój pocałunek uczyni mnie nieśmiertelnym!—Jej usta zabierają mi duszę: patrzcie, ona ucieka!—Chodź, Heleno, chodź, zwróć mi mą duszę!—Tu będę mieszkał, gdyż niebo jest na tych wargach—i wszystko, co nie jest Heleną, jest nędzą i odpadkiem.—Będę Parysem i z miłości ku tobie—w miejscu Troi zniszczę Wittenberg;—zwalczę słabego Menelausa i nosić będę twe barwy na hełmie zdobnym w pióra.—Tak, zranię Achillesa w piętę—potem wrócę do Heleny, by błagać o pocałunek.—Och! ty jesteś piękniejszą, niż wdzięk wieczoru — odzianego w przepych tysiąca gwiazd!"

Ale takich krzyków błogości i zachwytu znajdujemy w tragedyi niewiele. I owszem, niektórych krytyków uderza stosunkowe ubóstwo rozkoszy, okupionych przez Fausta za tak drogą cenę; widzą oni w tem swego rodzaju naiwność i prostotę duchową autora. Tak zgłodniały chłop, w swych marzeniach o dostojeństwie królewskiem, nie wybiega myślą po za rozkosze objadania się słoniną.

Jest to pogląd zupełnie fałszywy. Marlowe chciał raczej pokazać, jak rzeczywistość rzadko spełnia nasze marzenia. Oczekiwania rozkoszy sardanapalowych spełzają na niczem prawie, na farsach i wybrykach, które nic szczególnego nie przedstawiają. To też tragedya Marlowe'a jest pełna ironii i smutku i ostatecznie sprawia raczej bolesne wrażenie, niż jakiekolwiek inne.

Nareszcie—co czyni Fausta zupełnie nowożytnym, a poniekąd ojcem Hamleta—autor rozdwaja mu duszę, wprowadzając w nią zgryzotę, która nie pozwala spokojnie używać, ale także nie może się przemienić na czystą skruchę. Faust waha się w swem rozdarciu wewnętrznem, myśląc nawet chwilami o samobójstwie: „Moje serce tak stwardniało, że nie mogę nawet oddać się żalowi... Noże, trucizna, postronki leżą przede mną, kusząc mnie do uwolnienia się od siebie samego, i oddawna byłbym się zabił, gdyby słodka rozkosz nie zwyciężała głębokiej rozpaczy." Napróżno dobry anioł mu szepce na ucho: „Żałuj!" On *nie może!* Marlowe był pierwszym psychologiem, który przedstawił tę zatwardziałość duszy i oschłość serca, tę chęć i zarazem niemoc używania.

Taine, który w ocenie Marlowe'a był bardzo powierzchowny, powiada, iż główną myślą jego *Fausta* jest chęć używania w jakikolwiek sposób i za jakąkolwiek cenę. Pogląd całkiem niesłuszny. Pod wpływem półtoratysiącznoletniej kultury moralnej główne sprężyny użycia i rozkoszy zwichnięte zostały, i nasze poloty spełzają na niczem, pozostawiając gorycz zgryzoty, — taką jest idea tragedyi.

Mefistofeles także pojęty w sposób oryginalny. Nie jest to jeszcze Goethowski filozof XVIII w., pełen niewiary i śmiechu, niszczący przesądy ironią, a głupotę sarkazmem, ale nie jest to już także dyabeł średniowieczny, którego wystraszona fantazya otoczyła atmosferą czysto materyalnych okropności. Mefistofeles Marlowe'a jest smutny, jak anioł upadły, to znowu uparty i gwałtowny, jak apostoł Reformy.

Ludzie XVI w. byli nieubłagani w swych nienawiściach, to też chętnie w ten sam sposób przedstawiali gniewy Boga. Zakończenie *Fausta* Marlowe'a jest inne, niż u Goethego, ale zupełnie w duchu tamtych czasów, a zarazem bardziej dramatyczne. Faust bluźnił, wyrzekł się Boga, zaprzedał duszę szatanowi. W końcu terminu dwudziestoczteroletniego ten ostatni przybywa po swą ofiarę. Faust powinien umrzeć bez skruchy, i nic go nie zbawi od potępienia wiecznego. Tego wymaga zarówno wiara wieków średnich i na tem oparta jest ostatnia scena Marlowe'a, jedna z najpiękniejszych pereł poezyi dramatycznej. Pozostaje mu jeszcze godzina życia; chciałby zatrzymać bieg czasu, chciałby zwrócić się do nieba z modlitwą i nie może. Strach, czysto fizyczny, wciąż w nim wzrasta, strach mąk; on nawet przyznaje, iż zgrzeszył, zawinił, ale wszystko to nie jest skruchą. Małgorzata Goethego, jakkolwiek szarpana przez zgryzoty, nie może jednak wymazać z pamięci swej drogiej miłości. Wszak było tak słodko kochać!

Marlowe bardzo delikatnie przeprowadził różnicę pomiędzy zgryzotą, która jest reakcyą czysto fizyczną grzechu, walką ze wspomnieniami — i tę Faust odczuwa — a skruchą, która wymaga, aby cała duma ostatecznie się zawaliła, aby całe wnętrze zmiażdżone zostało i człowiek odczuwał tylko ohydę swej winy. Do tego Faust nie jest zdolny. On kocha swój grzech, jakkolwiek boi się jego skutków, i gdyby miał rozpoczynać na nowo, na pewnoby go powtórzył.

Ten koniec Fausta, jakkolwiek związany z tradycyami wieków średnich, wydaje nam się głęboko uzasadnionym psychologicznie i bardziej zgodnym z duchem nowożytnym, niż zakończenie poematu Goethego.

Jak rzekliśmy, Marlowe utworzył zakończenie ortodoksalne, otoczył ostatnie chwile Fausta okropnością, wszystko to jednak nie zbiło z tropu publiczności, która oskarżyła autora o bezbożność. Przypisywano mu rokosze myśli, które on umieszczał w ustach nietylko Fausta, ale poprzednio Tamerlana, a później Barabasza. Rozpustne życie i nieszczęsny koniec związały jego imię z ohydą i odrazą. Ale pomimo zgorszenia nie sposób było się uwolnić z pod czaru jego geniuszu, a głównie—jego cierpienia, gdyż Marlowe cierpiał okropnie. Jego Mefisto tchnie często dziwną melancholią; jest to dyabeł smutny, bez sarkazmów i bez dumy, zwyciężony i upadły. Na zapytanie Fausta: kim jest? Mefisto odpowiada: „Nieszczęśliwym duchem, który spiskuje z Lucyferem przeciw Bogu i za to jest skazany na wieczne potępienie." „—Jakże się dzieje, iż nie jesteś w piekle?" —Ależ piekło jest tu właśnie; nie wyszedłem z niego. Czy sądzisz, że ja, który skosztowałem rozkoszy niebios, nie cierpię katuszy dziesięciu tysięcy piekieł przez byt na ziemi?" A na zapytanie, czemu się stara kusić ludzi i usidlać ich dusze, Mefisto odpowiada: „Aby mieć towarzyszów niedoli!"

L. W.

ODCZYTY.

Ignacy Matuszewski, *Bohaterowie jasełek.*

Obrawszy za temat swojego odczytu teatr maryonetek, prelegent, wywiązał się z zadania bardzo umiejętnie i zdołał do końca utrzymać w napięciu uwagę zgromadzonej publiczności.

W krótkości rozpatrzył poglądy co do rodowodu maryonetek. Z przytoczonych najsłuszniejszem jest według niego zdanie Magnina, który poszukuje początku jasełek w kulcie religijnym i wyprowadza je ze świętych przedstawień świata klasycznego (o ile mowa o odpowiednich krajach), podczas których kapłani na scenie ustawiali posągi bożków i przy pomocy odpowiedniej maszyneryi w ruch wprawiali ich członki. Z biegiem czasu ów charakter religijny jasełek znikał, aż wreszcie maryonetki z bożków zeszły na zwykłych śmiertelników. Nasza szopka pozostała właśnie w takiej fazie przejściowej: obok pospolitych postaci, zaczerpniętych z otaczającego nas życia, ukazują się tam jeszcze święte lub związane z historyą święta. Ale już w świecie klasycznym spotykamy igrzyska oscyjskie, które zupełnie wyzwoliły się z pod więzów tradycyi religijnej. Teatr, posługujący się maryonetkami, stał się *par excellence* zabawą ludu i poniekąd trybuną jego żalów i poglądów. W naturę maryonetek kładziono nieraz ostrą satyrę na niesympatyczne dla ludu stosunki lub osoby, zresztą jasełka niekiedy zwracały się przeciwko swojemu zbiorowemu mecenasowi, szydząc z jego prostactwa lub łatwowierności — maryonetki były błaznami tłumu, pozwalającymi sobie mówić mu gorzką prawdę w oczy. Typy, wzięte z warstw wyższych, są tam chłostane w sposób ostry, wojskowi i przedstawiciele władzy są niedołęgami, mniemającymi jak najlepiej o sobie, bohaterowie z ludu, jak Poliszynel i Punch, naigrawają się z kodeksów, grzeszą przeciwko istniejącym instytucyom i z walki tej wychodzą zwycięzko, tj. karząca ręka sprawiedliwości nie może ich dosięgnąć — ku wielkiej radości ludu, przyglądającego się przedstawieniu lalek drewnianych. Wogóle akcya w jasełkach nie tyle naśladowała, ile parodyowała życie, przedstawiając je we wklęsłem zwierciadle sympatyi ludu. Wyprowadzane typy bywały tam upostaciowaniem różnych kół społecznych, była to, że w ten sposób wypowiemy myśl prelegenta, akcya społeczna, odgrywana przez osoby pojedyncze.

Z tego zasadniczego stanowiska p. Matuszewski oświetlił jasełka. Najdłużej zatrzymał się nad charakterystyką bohaterów maryonetkowych i dziejami odpowiedniej rozrywki. Dowodzi on, że już w typach rzymskich atellanów istnieją wszystkie charakterystyczne rysy maryonetek późniejszych. Swoją drogą jasełka w wiekach średnich powstają samodzielnie. Włochy były ojczyzną „komedyi improwizowanej" (*Comedia del arte*), która razem ze swoimi typami przedostała się potem do Francyi, wreszcie do Anglii. Ale w tej wędrówce przybywały nowe typy, np. Pierrot francuski; inne, przekształcając swoje nazwy, jak Pulcinello na Poliszynela we Francyi i Puncha w Anglii, jeszcze bardziej zmieniały cechy, przystosowując się do charakteru ludu w każdym z tych krajów. Również z jasełkami spotykamy się w Niemczech, gdzie wykazują one samodzielny zdaje się rodowód i posiadają rysy bohaterskie, zaczerpnięte z sag i podań pogańskich. Między późniejszymi wątkami przedstawiano *Fausta*.

Wspomniawszy o istnieniu podobnych zabaw w Turcyi, Persyi i na Jawie, prelegent zwrócił się do naszej szopki. Znajdo-

wały się, jego zdaniem, w niej pierwiastki zdolne do rozwoju, które przy sprzyjających okolicznościach zdołałyby stworzyć teatr ludowy, nie gorszy, niż włoska *comedia del arte*. Typów charakterystycznych tam nie brakło, jak ów „kusy Janek, co chodził z toporkiem, opasywał się kijanką, podpierał się workiem," różne postacie społeczne, jak żebrak, Małgorzatka, „co tańcuje z huzarami," ekonom, żyd itd. Ale naprzód technika szopki była bardzo upośledzoną i przeszkadzała rozwojowi tego rodzaju zabaw. Istnieje jeszcze przyczyna inna, głębsza. Mianowicie ów lud, który wszędzie był mecenasem jasełek, znajdował się u nas na zbyt niskim poziomie samodzielności i odporności, ażeby zdołał wlać w lalki takie życie, jak to uczynił gdzieindziej.

Wzmianką o próbach Maeterlincka i in. wznowienia dzisiaj teatru maryonetek p. Matuszowski zamknął swój zajmujący odczyt.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Wydawnictwa zeszytowe. W dalszym ciągu wyszły: *Obrazu literatury powszechnej* P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego zeszyty V i VI; *Dziejów powszechnych ilustrowanych* 20—22; *Słownika nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich* E. Majewskiego 14; *Encyklopedyi rolniczej* 44 (do wyrazu Klimat); *Arcydzieł Szekspira* (wyd. lwowskie) 29—36; *Dzieł dramatycznych W. Shakespeare'a* (wyd. warszawskie) tomy IX i X; *Samouczka* polsko-francuskiego P. v. Reussnera zesz. 11—13.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała obficie ilustrowany *Zarys geografii powszechnej* (poglądowej) W. Nałkowskiego (str. 327).

— Z zapomogi Kasy Mianowskiego wyszedł t. XIII *Pamiętnika fizyograficznego* (str. 227, 7 tablic rysunków litograficznych). Zawiera on rozprawy naukowe: J. Trejdosiewicza i K. Koziorowskiego (geologia z chemią), J. Paczoskiego, K. Drymmera, H. Eichlera, W. M. Kozłowskiego, A. Mochlińskiej i J. Elsmonda (botanika i zoologia) oraz spostrzeżenia meteorologiczne i fenologiczne.

— „Salon artystyczny" (przy Nowym Świecie) ogłasza konkurs na obraz olejny oryginalny, nie wystawiany przedtem w Warszawie. Nagrody dwie: pierwsza 100 rs., druga — 75. Nadto jest trzecia dodatkowa — rs. 50. W głosowaniu na nagrody uczestniczyć będą artyści i publiczność. Wystawa konkursowa trwać będzie od 1 października do 15 listopada r. b.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z HYGIENY ŻYCIOWEJ

Dr. Józef Jaworski: *W sprawie społeczno-lekarskiej słów kilka.* — Dr. Seweryn Sterling: 1) *Warunki pracy zawodowej robotników fabryk sukna w Tomaszowie Rawskim.* 2) *Plan badania warunków pracy zawodowej robotnika fabrycznego.*

Dotychczas z literatury i prasy zachodnio-europejskiej więcej mogliśmy wiedzieć o tem, co się dzieje na „ucywilizowanych" pobrzeżach Afryki, jakie są warunki bytu Japonii, Chin, na Kubie, Madagaskarze, na wyspach Oceanii itd., niż o stanie hygieny krajowej. To bowiem, co korespondenci donoszą w luźnych notatkach reporterskich, nie może być nawet „przyczynkiem" do zobrazowania ogólnego stanu zdrowotności. Usiłowania około zapełnienia tej luki widzimy dopiero w chwilach ostatnich. Niedawno *Zdrowie* ogłosiło kwestyonaryusz, wzywający całą inteligencyę prowincyonalną do współpracownictwa. Obecnie mamy pod ręką rezultaty spostrzeżeń dwu lekarzy, przedstawiające już poważny i wiarogodny materyał, a więc cząstkę ogólnego obrazu, która może ułatwić drogę lub być bodźcem do stworzenia organizacyi przeciwdziałania. Przed kilku tygodniami pisząc o ofiarach macierzyństwa, wynikających z braku odpowiedniej pomocy lekarskiej, napomknąłem o zaniedbaniu u nas pola akuszeryjnego, wadach w zdobywaniu wiedzy fachowej i zastosowywaniu jej w praktyce, wreszcie—pozostawianiu znacznej liczby rodzicielek pod opieką t. zw. „babek," przynoszących więcej szkody niż pożytku. Świeżo ogłoszone notatki d-ra Jaworskiego uwydatniają w jaskrawych cyfrach ten smutny obraz. Warto mu się zblizka przyjrzeć. Oto krótka tabliczka, przedstawiająca stosunek ilości urodzeń do rozmieszczenia akuszerek w Królestwie Polskiem:

	Liczba kobiet.	Urodzeń	Akuszerek.	Babek
Warszawa .	239,026	20,777	252	—
Gubernie				
lubelska . .	642,773	43,251	30	21
piotrkowska	521,932	47,331	80	29
radomska .	394,803	29,929	30	6
kaliska . .	444,225	34,872	71	—
kielecka . .	371,486	27,817	[illegible]	[illegible]
płocka .	345 480	22,724	[illegible]	—
warszawska .	582,050	44,437	84	83
siedlecka . .	360,438	29 259	26	14
łomżyńska .	332,011	27,303	43	—
suwalska . .	338,032	19,685	21	—
Razem	4,173,656	347,345	726	153.

Po uważnem przyjrzeniu się tym cyfrom otrzymamy stosunek następujący: w Warszawie jedna akuszerka przypada na 950 kobiet; reszta, to jest 627 akuszerek ze 153 babkami wiejskiemi mają czuwać nad całą prowincyą. Dodajmy, że mieszkają one prawie wyłącznie w większych miastach, przeważnie gubernialnych; zatem tylko w pewnym promieniu mogą okolicę obsłużyć. Ale czy i to potrafią uczynić, skoro w samem mieście na każdą z nich przypada po 3,000 kobiet? Miasteczka i wsie liczą około 3,000,000, a więc jedna akuszerka przypada tam na *trzysta tysięcy* kobiet! W zakresie urodzin nie mamy ścisłej statystyki, ale dr. Jaworski, opierając się na prawdopodobieństwie, robi następujące wyliczenie: Przypuszczając, że każda akuszerka czynna jest rok cały i na każdy poród poświęca siedem dni opieki położniczej, wypadnie, że przyjąć może 52,1 dzieci, odbierając jedno na dzień, a jeżeli po dwoje, to 104,2. Biorąc dla prowincyi okrągłą liczbę akuszerek 630, przyjdziemy do wniosku, że wszystkie one mogą przyjąć w ciągu roku 65,646 dzieci, a więc 260,922, tj. $^4/_5$ urodzeń, pozostaje bez najmniejszej opieki położniczej.

Dziwnie wygląda to olbrzymie pole, odłogiem pozostawione, gdzie gospodynią jest jedna akuszerka na *trzysta tysięcy* kobiet, oczywiście gospodynią fikcyjną, nie mogącą zadość uczynić opiece nad maleńkim procentem chorych. Całe masy, nie mają pojęcia ani o znaczeniu antyseptyki w chorobie, ani o zachowywaniu się hygienicznem w rekonwalescencyi, są pastwą znachorek lub pozostawione sobie, walczą ze śmiercią albo kalectwem siłą swojego organizmu.

Biorąc za podstawę cyfry dr. Jaworskiego, możemy snuć w dalszym ciągu obliczenia — straszne! Tak np. przeszło *milion* porodów rocznie w Królestwie Polskiem odbywa się bez wszelkiej pomocy lekarskiej. Jeżeli przypuścimy bardzo pomyślne wyniki, tj. że z tej liczby połowa kobiet wychodzi zwycięzko, będziemy mieli 500,000 co rok, skazywanych na wieczne kalectwo, niedołęztwo, choroby nieuleczone. Kobiety te, w dalszym ciągu pozostając matkami, wydają potomstwo schorzałe, słabo odporne na wszelkie choroby i — pracę, że zatem ciągle wytwarzają się armie ludzi, w najlepszym razie przynoszące społeczeństwu jakąś malutką cząstkę swej produkcyjności, której w całej pełni rozwinąć nie mogą. Pomijamy już dalsze skutki, jak udzielanie chorób i niezdarności innym, pośrednio lub bezpośrednio. A teraz wysnuwszy taki obraz, przypomnijmy sobie, gdzie młode i silne kandydatki do pracy szukają zajęcia i jak starannie omijają zawód akuszeryjny. Wprawdzie nie można ich oskarżać całkowicie, bo do wejścia na to szerokie pole pracy brak dróg ułatwionych: odpowiednich zakładów naukowych, organizacyi, udzielającej wskazówek, gdzie i na jakich warunkach można rozpocząć praktykę, wreszcie brak szpitalów położniczych z odpowiednimi środkami dla uposażenia pracownic. Zanim więc bezwzględne rzucimy potępienie na kobiety nasze, jak to inni czynią, nawet lekarze, za to, że stronią one od tego zawodu, czekajmy, aż przyjdą powyższe ułatwienia, jako podścielisko kształcenia się i następnie — pracy praktycznej na tej niwie.

Inną dziedzinę hygieny zbadał dr. Seweryn Sterling. Poświęcił on sporo czasu i trudu na ocenę zdrowia i warunków pracy robotników tkackich w Tomaszowie Rawskim. Nie możemy wdawać się tutaj w drobiazgi, bądź co bądź bardzo ciekawe o sposobach i działach produkcyi w tej gałęzi fabrycznej. Bierzemy tylko wybitne warunki pomieszczenia, zajęcia, trybu życia, które ujemnie działają na zdrowie pracowników. Autor przekonał się, że przewietrzanie w małej zaledwie ilości izb fabrycznych jest sztuczne i dobrze urządzone (kręcące się w oknach kółka już dawno nauka potępiła). Przyrządy aspiracyjne w postaci wentylatorów skrzydłowych, parą obracanych, dotąd są bardzo nieliczne, pomimo, że powietrze rzeczywiście odświeżają. Ciekawe są szczegóły, dotyczące odżywiania. Pijaków spotkał autor bardzo niewielu, co przypisuje poniekąd temu, że wybrał do badania ludzi „lepszych," i że ci rozmyślnie przed lekarzem ukryli rzeczywisty wydatek na alkohol, chcąc tym sposobem w korzystniejszem świetle się przedstawić. „W każdym razie—powiada dr. S.—niewiele ukryli. Charakterystycznem jest, że wódkę uważają za warunek dobrego strawienia mięsa. „Objeść się mięsa i nie popić wódką—gotowa choroba"—mówiła jedna z gospodyń. Że jednak mięso u lwiej części robotników jest przysmakiem rzadkim, a „objeść się" wypadnie ze dwa, trzy razy na rok, więc i wódka jest rzadkim gościem."

Dr. Sterling robił skrzętne pomiary, które także dają bardzo ciekawe wyniki. Tablice, ułożone na podstawie tych poszukiwań, doprowadzają do następujących wniosków: Pracownicy fabryczni w Tomaszowie są gorzej rozwinięci fizycznie niż inni. Pochodzący z rodzin robotniczych posiadają lichszy organizm i słabsze siły niż z rodziców-rzemieślników, wyrobników, bezrolnych itd. Wyjątek stanowią cyfry, dotyczące pierwszych lat pracy fabrycznej. Stale rozwój lepszy wykazują urodzeni na wsiach. Jako znamiona zawodowe, zniekształcające normalną budowę ciała, autor przytacza wklęśnięcie piersi, skrzywienia (nadwichnięcia) w stawie goleniowo-stopowym u tkaczy ręcznych, skrzywienie kręgosłupa u szpularek, poruszających pedał nogą.

Małą dzielność ustroju robotników autor znalazł w długotrwałej rekonwalescencyi: „Kiedy np. mieszkaniec wsi zapada na zdrowiu, szczególnie na jakąś krótkotrwałą chorobę, zwykle po przejściu okresu burzliwego wstaje, jakby nic nie było. Przeciwnie, robotnik po najlżejszej niedyspozycyi, wyprowadzony z równowagi, długo do siebie przyjść nie może... Fakt trudnej, powolnej, czasem miesiące i lata trwającej rekonwalescencyi wielokrotnie się powtarzał."

Wymowne są dane z zakresu wypadków przy pracy. Autor na mocy swych skrzętnych badań przychodzi do bardzo ważnego wniosku: wypadki częstsze (o 36,5%)

po południu są dowodem, że obok niebezpieczeństwa machin, zmęczenie odegrywa wybitną rolę.

Przy końcu swojej pracy dr. Sterling podaje żądania, które należałoby nietylko uwzględnić, ale jak najprędzej w życiu zastować. Oto ich szereg: 1) Wprowadzenie sztucznej wentylacyi, przesycającej czyste powietrze. Przy dzisiejszej pierwotnej dostaje się ono zwykle z najbliższego otoczenia: innych izb fabrycznych, sieni, korytarzy, zakurzonych podwórzy. 2) Lepsze oświetlenie farbiarni, suszarni i t. d. 3) Częste mycie podłóg, ścian, warsztatów, dla usunięcia nagromadzonego pyłu. 4) Maski dla pracujących przy przerabianiu wełny, przy gremplach i przędzalniach. 5) Gmachy fabryczne powinny mieć mocniejsze podłogi i być cementem kryte, ażeby zmniejszyć drżenie izb. 6) Urządzenie ścieków i spadków w farbiarniach i pralniach. 7) Używanie czerpaków do wyjmowania wełny w farbiarniach i pralniach. 8) Nosze do wełny pranej, farbowanej i do sukna wilgotnego. 9) Odzież nieprzemakalna dla pracujących w powietrzu, przesyconem parą wodną. 10) Umywalnie w każdej sali; kominki do ogrzewania jadła. 11) Używanie lepszych gatunków smarów, tłuszczów, kleju, farb itd. 12) Ogradzanie części machin, grożnych dla zdrowia i życia robotnika. 13) Regulowanie zegarów fabrycznych podług jednego wzoru. Różnią się one nieraz o 30 minut. Ojciec, matka, dziecko wracają na obiad o różnej porze. 14) Zadrzewienie podwórzy fabrycznych. 15) Popularyzowanie wiadomości hygienicznych.

Jak widzimy, żądania nie są zbyt trudne do spełnienia, a wprowadzone w czyn, mogłyby choć trochę wzmocnić i zabezpieczyć zdrowie ludności robotniczej.

Obok powyższej kwestyi, dr. Sterling opracował plan badania warunków pracy zawodowej robotników fabrycznych, który należy zalecić wszystkim współpracownikom ankiety sanitarnej, jako środek, ułatwiający poszukiwania.

Zen. Piet.

POŻARY.

Wcześnie i niezwykle rozpoczął się w roku bieżącym sezon pożarów. W okresie kilkodniowym straszne katastrofy dotknęły Koprzywnicę, Gorzkowice, Brześć Lit., Grodno, Kobryń, Rożany. Ogień pochłonął nietylko mienie, ale i życie wielu mieszkańców, szczególnie chorych i dzieci. Do najokropniejszych należy pożar Brześcia, bo z dużego miasta zostało zaledwie kilka domów murowanych, a w płomieniach zginęło mnóstwo chorych i dzieci. Ludność uboga straciła wszystko, co miała, nie wyłączając drobnych oszczędności, z trudem zdobytych i schowanych głęboko w domu przed okiem i ręką złych ludzi. Tysiące pogorzelców bez dachu i chleba obozuje pod gołem niebem. Ale tu miłosierdzie ludzkie, pobudzone silnem wrażeniem, sypnęło ofiary w gotówce i produktach spożywczych. Urządzono na prędce jadłodajnie obozowe, najuboższym oprócz strawy, rozdano odzież jaką taką. Miłosierdzie w takich chwilach spełnia piękne zadanie, bo nietylko materyalnie, ale pośrednio pokrzepia duchowo znękanych nieszczęściem.

Rozglądając się w tych wszystkich wypadkach, spostrzegamy parę szczegółów charakterystycznych i wymownych: Pożary najczęściej powstają w nocy, a ich przyczyna prawie nigdy nie daje się wykryć; tłumy wobec rozszalałego żywiołu zachowują się niemal biernie, jakby z rezygnacyą zdają wszystko na pastwę ognia. Wnosić stąd można, że w tych wypadkach znalazłby bogaty materyał nietylko psycholog, ale i — sędzia śledczy... Jakoś trudno przypuścić, żeby tu działał tylko ślepy wypadek z taką nieubłaganą systematycznością. Z punktu psychologicznego nikt u nas owego zjawiska nie rozpatrywał, pomimo, że zbadanie tej strony mogłoby być do pewnego stopnia ułatwieniem w wyszukiwaniu środków ochronnych. Nagle w tłum rzucony wyraz: *pali się!* — działa tak strasznie, jak bomba dynamitowa. Najtrzeźwiejsze, najobojętniejsze jednostki tracą przytomność, zdolność prostego rozumowania i pociągnięte ogólnym przestrachem, uciekają, chociażby miały skakać z wysokości trzeciego piętra na śmierć niechybną; widzą niezawodne niebezpieczeństwo, chociażby budynek, w którym się znalazły, był zrobiony z jednolitego żelaza lub granitu. Liczne fakty dowiodły, że takiemu przestrachowi ulega nawet tłum inteligentny. Wyobraźmy teraz ciemne rzesze, przebudzone katastrofą ze snu głębokiego, przerażone ogniem rzeczywistym, zgiełkiem, płaczem, wrzawą, najwyższym nieładem. Los tak zdarzył, żem był kilkakrotnie świadkiem tych scen, trudnych do opisania: Ludzie zupełnie nieprzytomni, zamiast zapobiegać klęsce, mimowoli ją szerzą. Ktoś zamiast dziecka, ratuje stołek, zamiast wiadra z wodą, przynosi miotłę, zamiast drabiny— siekierę. Widziałem na chatach wiejskich wymalowano godła ratunku. Ten, kto ma wyrysowany topór, musi z nim przybiedz na miejsce pożaru, inny z wiadrem, beczką, drabiną, itd. W razie jednak wypadku nikt nietylko znaleźć tych narzędzi nie może, ale wcale o nich nie pamięta. Natomiast przyjrzyjmy się dobrze zorganizowanej, karnej i wyćwiczonej straży ogniowej: jak ona systematycznie i trzeźwo pracuje nad opanowywaniem żywiołu! Ale taka ochrona, niestety, istnieje tylko w wielkich miastach, a już nawet tak zwane ochotnicze nie zawsze mogą się wywiązać należycie ze swego zadania, skutkiem ubóstwa środków ratunkowych, braku wprawy i sił odpowiednich. Na wsi bywały wypadki, że jeden człowiek inteligentny, umiejący zapanować nad tłumem swą trzeźwością i rozwagą, potrafił samą tylko komendą energiczną więcej zrobić, niż setki ludzi z beczkami i toporami. Czasem jedno rozebranie parkanu lub części dachu w porę, stanowczo przecinało ogień. Otóż obok wszelkiej pomocy technicznej i materyalnej, społeczeństwo powinno wytwarzać taką straż moralną, która potrafiłaby zapanować nad przestrachem tłumu i przywrócić mu przytomność. Ale zawsze muszą iść w parze wszystkie środki ratunku; ludzie bez rąk lub nóg nie mogą wykonać najprostszego zlecenia; dopóki więc nie będzie dobrze zorganizowanych straży, póty ludność wiejska bezradna palić się będzie z życiem i mieniem.

Przed rokiem rozbiegła się wieść o stworzeniu centralnej machineryi, która miała rozwinąć czynność w całem państwie, tworzyć i wzmacniać straże, ułatwiać im kredyt i tanio nabywanie narzędzi itd. Jednocześnie wydano i kilkakrotnie powtórzono przepisy ochronne, w których zalecono ścisłe przestrzeganie planów budowlanych (odpowiednia szerokość ulic, odległość domów itd.). Dotąd wszakże w praktyce nie mamy najmniejszych śladów owych zarządzeń, a tymczasem wzrastają gromady pogorzelców, nędzarzy bezdomnych, obarczających społeczeństwo wielkim ciężarem. Ani straże wzorowe, ani przepisy budowlane jeszcze nie wystarczą, chociażby weszły w życie. Należy bowiem myśleć jednocześnie nietylko o ratunku w razie ognia, ale i zapobieganiu wypadkom. Trzeba zatem rozciągnąć baczny i stały dozór nad pijakami, wyrostkami palącymi tytoń, nad dziećmi (podczas robót polnych skupiać je pod opieką starszych osób); wprowadzić honorową, czy płatną straż nocną, któraby mogłaby zarodki ognia zawczasu dostrzedz, niebezpieczeństwo usunąć lub podpalacza przyłapać. Należałoby stanowczo zabronić gromadzenia materyałów palnych w pobliżu budowli lub na strychach, usunąć dachy słomiane, uporządkować kominy. Wystarczyłoby niewielkim podatkiem obłożyć społeczeństwo, ażeby zdobyć dostateczne sumy na odpowiednie organizacye. Podatek ten zaważyłby niewiele, a ochroniłby ogół od strat milionowych. Po za tem wszystkiem pożądana jest największa ilość drzew liściowych między budowlami, jako środek, tamujący rozwój ognia. Wreszcie przy odbudowywaniu miast, wsi i osad spalonych należy stanowczo stworzyć z góry plan, przewidujący wszelkie warunki bezpieczeństwa. Smutna to ostateczność — czekać, aż spłoną źle zabudowane siedliska ludzkie, ażeby wznieść nowe, bezpieczniejsze. Innej wszakże rady w tych wypadkach być nie może.

Wyłuszczone powyżej środki przeciwdziałania, jeżeliby nie zapobiegły całkowicie klęskom obecnym, to przynajmniej sprowadziłyby je do możliwie najmniejszych rozmiarów. Ale tu konieczna jest solidarność i poczucie obowiązku całego społeczeństwa. Jeżeli ono odczuwa nieszczęście i śpieszy z ofiarami doraźnemi, niechże oceni potrzebę stałej pomocy zaradczej; niech moralnie i materyalnie popiera sprawę należytych organizacyj, czuwających nad bezpieczeństwem publicznem. Tworzymy różne „ankiety"; dlaczego nie pomyślimy jeszcze o jednej, mającej na celu zobrazowanie warunków mieszkańców wiejskich wobec ognia i — pobudzenie ogółu do zaradności?

Zn.

LIBERUM VETO.

Zniknięcie kwestyi opłacania się pracy na roli. — Rozmowa z wichrem i jego cele. — Historya o czarnym łubinie, jego ciekawych podróżach i równie ciekawym tytule. — Korespondencya Moniuszki. — [illegible] kłopoty materyalne, skromność i „Śmiech zamazany." — Miła niespodzianka.

Podobno ziemianie nasi w maju przestali rozmyślać nad kwestyą: czy praca na roli opłaca się? Wszystkie bowiem rodzaje zbóż szybko podniosły się w cenach, a chociaż nie dosięgły tej idealnej miary, przy której biedacy jedzą chleb przez szybę sklepową, jednakże producent już nie potrzebował daremnie wyglądać Szmulów i Janklów, lecz nawet musiał im się troszkę opędzać, wobec pustej stodoły. Nie dość tego. Długotrwała susza wiosenna obiecuje liche plony, a przecież wiadomo, że nasz rolnik z dwojga złego woli nieurodzaj przy wysokich cenach, niż urodzaj przy nizkich. Więc będzie *nam* nieźle. Tak, *nam*. [illegible] kupcy, przemysłowcy, księgarze, wydawcy wyznają dogmat, że ich pomyślność zależy bezpośrednio od dobrobytu szlachty. Mają też oni ciągle wzrok utkwiony w cedułę rynku zbożowego i gdy widzą w niej zwyżkę cen, zacierają radośnie ręce, a gdy dostrzegą zniżkę, opuszczają nosy. Zapytajcie każdego kupca: jak mu idzie interes? Odpowie: „Co ma iść w takim podłym czasie, kiedy korzec pszenicy kosztuje 3 rs. a żyta 2! Nas odziewa i karmi szlachta; a gdy ona goła, my również nie nie mamy." W zeszłym tygodniu dął wściekły wicher, z którym pokłóciłem się, tej kanalii, zasypującej ludziom oczy piaskiem i druzgocącej wszystko bezmyślnie, szczególniej nie lubię. „Jak można być tak głupim — mówię mu — ażeby zużywać swą potężną siłę na wyrzucanie pachciarzów z tramwaju i wyrywanie drzew w alei?" A on mi w odpowiedzi

wyje: „Wysuszę ziemię, będą wysokie ceny zboża, będą wysokie ceny!“ Ma on racyę — pomyślałem, ale — jak ktoś słusznie zauważył — dlatego, że Aleksander Macedoński był wielkim, nie należy łamać krzeseł. Skoro wszakże wicher nie chce inaczej pomódz naszemu rolnictwu, niech wyrzuca pachciarzów i wywraca drzewa.

Zdaje mi się jednak, że to nasze rolnictwo, pomimo wszelkich postępów, wysławianych w pismach i obradach Towarzystwa p. r. p. i h., zbyt wiele jeszcze liczy na wiatry, deszcze, klęski amerykańskie i inne pomoce żywiołowe, a za mało na rozum. Tu muszę się zdradzić z pewnym osobistym gustem: gdy nas nazywają społeczeństwem lekkomyślnem, marzycielskiem, próżniaczem, zacofanem, przykro mi wielce, ale mogę znieść te zarzuty; dopiero gdy nam ktoś dowodzi, że jesteśmy gromadą małp, usiłujących we wszystkiem naśladować obcych ludzi, czuję głęboki wstyd i gniew. Tysiące razy wytknęliśmy to sobie sami, że nie umiemy ani rozeznać, ani ocenić wartości swojskiej, dopóki jej nie ostempluje swą pochwałą zagranica. Lekceważymy nasze talenty artystyczne, zdolności naukowe, wynalazki, odkrycia, ale skoro one zyskają rozgłos u obcych, wpadamy w szalony entuzyazm. Tak we wszystkich dziedzinach życia i zawsze. W ostatnim numerze *Gazety rolniczej* p. E. Dobrzański pomieszcza następujące a nader charakterystyczne objaśnienie. Ktoś w temże piśmie wyraził ubolewanie, że nikt u nas dotąd nie ogłosił swych spostrzeżeń nad uprawą i przymiotami „czarnego łubinu *syberyjskiego*.“ Otóż p. E. D. opowiada dziwną historyę tego rzekomego syberyjczyka. Naprzód, on nigdy na Syberyi nie rósł; powtóre, nie może pochodzić z tego kraju dla tej prostej i dość przekonywającej przyczyny, że go za pomocą sztucznego zapłodnienia wytworzył i od r. 1882 uprawia u nas tenże p. Dobrzański. W r. 1866 okazał go wraz z innym na wystawie rolniczej w Warszawie i otrzymał list pochwalny. Następnie wydał dziełko p. t. „Łubin i jego użytki,“ w którem nową odmianę obszernie opisał. Wszystko to jednak nie zwróciło uwagi inteligentnych rolników. „Po wystawie w r. 1891 — pisze dalej p. D. — skład nasion Zabłockiego w Kijowie zaproponował mi dostarczenie sobie łubinu czarnego, celem zaprodukowania na wystawie charkowskiej, co też uczyniłem. W r. 1882 pewną ilość tegoż łubinu zakupił u mnie do swego składu p. Brokl z Kijowa. Zauważywszy dość żywe zainteresowanie się kupujących, pomimo świadomości źródła, zapewne w chęci zmonopolizowania produktu, ochrzcił on mój łubin nazwą „syberyjskiego,“ gdyż pod taką właśnie nabył go tam niejaki p. Seichter, niemiec, i pierwszy zawiózł do Prus. W następnym zaraz roku otrzymał od p. Seichtera 100 f. łubinu niejaki p. Schrape ze Szlązka, a odnalazłszy w nim wiele cennych zalet, zakomunikował je p. Monhauptowi, właścicielowi wielkiego składu nasion we Wrocławiu. Zainterpelowany przez tegoż, p. Brokl odkrył p. M. źródło produkcyi i od tej chwili, tj. od wiosny r. 1893, dom J. Monhaupt Nachfolger stale wprost ode mnie całą produkcyę zakupuje. Wszakże większego rozgłosu w Niemczech nabył łubin ów właściwie z chwilą, gdy firma J. Monhaupta rozesłała akademiom i stacyom chemicznym próby, celem dokonania rozbiorów chemicznych, które wykazały najwyższą, z pomiędzy znanych, zawartość proteinów i tłuszczów, przy mniejszej o 15% zawartości goryczy.“

Dodać tu należy, że — według p. D. — ziemianie nasi, nabywając we Wrocławiu polski łubin czarny, płacą więcej za pud, niż handlarz niemiecki płaci naszemu producentowi za korzec. W tej drobnej sprawie mieści się morze humoru, przy którem aż na płacz się zbiera. Niechże przynajmniej przyszli ekonomiści, obliczający nieopłacanie się u nas pracy na roli, wciągną do swego rachunku koszta podróży łubinu polskiego do Wrocławia i z powrotem wraz z wydatkami na chwilowy jego tam pobyt.

Na nieszczęście Moniuszki, nie był on opatentowany za granicą i dlatego cierpiał biedę, a ogółowi nawet na myśl nie przychodziło, ażeby twórca *Halki* mógł się równać z Donizettim lub Auberem. Świadczą o tem jego listy, świeżo ogłoszone w *Kur. warszawskim*. Jakże ten wielki talent był skromny i niedostatkiem przygnieciony! Aż boleśnie czytać ciche jego skargi! „Jeżeli będzie mógł (dyrektor teatru wileńskiego) — pisze do przyjaciela — natychmiast pieniądze przysłać (za *Verbum*), zadowolę się 500 zł.“ Wymagając bardzo niewiele za swe opery, zniża honoraryum aż do mizernych sumek, jeżeli tylko nie każą mu czekać na zapłatę. „Od 7 miesięcy — powiada raz — nie mam z pracy mojej najmniejszego dochodu,“ a przytem tak niepewny ciągle swej posady, na której pobierał niewielką pensyę, że zastrzega: „Wyszukaj tam dla mnie lekcyjki w Suwałkach; kto wie, na co się to przyda.“

Chcąc powiększyć swe dochody, „czepia się tonący gazowych kotylionów“ — pisze muzykę do baletu. Ile razy kapnie mu trochę pieniędzy, cieszy się jak głodne dziecko, któremu dano przysmak. Razu pewnego otrzymał z koncertów 2,185 rs. 92 k. „Pierwszym moim obowiązkiem — pisze do przyjaciela — po podziękowaniu Bogu za pomoc, ,ąć się do rozliczenia z moimi dłużnikami, z których każdemu dostało się przynajmniej po pierniku z makiem i na czas niejaki mam ciszę w przedpokoju, a gdybyś mnie uszczęśliwił swojemi odwiedzinami, ręczę, że byś ruchu naszego dzwonka nie poznał.“

Nikt by z dzisiejszej adoracyi nie domyślił się, że nawet prasa lekceważyła Moniuszkę. „Wczoraj daliśmy przecie *Verbum* — donosi on z ironiczną uwagą — i nic złego się nie stało. Owszem, „publiczność z zadowoleniem opuściła salę“ (utarte, głupie wyrażanie się pism).“ Gdzieindziej mówi: „Koncerty sypią się, a raczej, jak chmury togoroczne, suną się i suną bez pogodnej przerwy. Zauważ to u siebie, że według niewiadomego skąd porządku na każdym z nich śpiewa się *coś* i zawsze *dobrze* z utworów twego przyjaciela i że o tych fakcikach żadne od najdostojniejszych do maluczkich piśmidełek wzmianki o każdorazowem bisowaniu moich piosenek nie czyni. Daję ci 50 lat do namysłu, coby to znaczyć miało? Jeżeli ci się uda rozgryźć ten orzech, podziel się ze mną choćby łupiną.“

Pomimo że czasem wyrwie mu się z pod pióra ostrzejszy wyraz, w najboleśniejsze skargi nie wsącza on żółci. Przeciwnie, ma zawsze na ustach bodaj „zamazany uśmiech.“ Z tej krótkiej korespondencyi widać, że był to człowiek dobry, łagodny, nieposiadający w najdrobniejszej mierze ani sztuki, ani umiejętności zdobywania przywilejów życia. Przeciwnie, można raczej dostrzedz w nim pewną niezaradność i stoickie zginanie głowy pod obuch losu. Śpiewa sobie, jak słowik, bo jak on, śpiewać musi; bardzo jest rad, gdy jego pieśni podobają się ludziom, ale nie gniewa się i nie rozpacza, widząc obojętność. Czasami odczuwa swą siłę twórczą, lecz wyraża się o niej bez żadnej pychy. Z biedą pogodził się, jak brat z dokuczliwą siostrą. Wspominając o cholerze, powiada: „Jednakże jadamy dojrzałe owoce i kwaśne ogórki bez żadnego niebezpieczeństwa, a zmartwień mamy tyle, że z nich i bez cholery możnaby dać pokój życiu, gdyby kto ze smutku umierał. Kto ma biedę, to ją ma widać po to, aby jej koniecznie używał...“ Jest to rzeczywiście filozofia łagodności.

Prawie w każdym liście ogłoszonej korespondencyi znajdujemy wzmianki, dowodzące, że Moniuszko dużo czytał i zajmował się ruchem literackim. Jest to także niezwykły rys śród artystów. O ile pouczne pisma wielkich ludzi, zdradzające nam ich ułomności i grzechy, sprawiają bardzo przykre wrażenie, o tyle odsłaniające ich strony dodatnie są nader miłą niespodzianką. Po przeczytaniu listów Moniuszki mamy jeszcze większą do niego sympatyę.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Płock. Według projektu magistratu miejscowego, szkoła 4-klasowa miejska od 1 lipca będzie zamieniona na trzyklasową z kursem sześcioletnim, wobec czego ustają składki, opłacane przez mieszkańców, a wzamian kasa miejska udzielać ma zapomogi w kwocie rs. 3,000 rocznie. — Jeszcze w Warszawie elektryczność na użytek miasta nie może przekroczyć granic projektu, a już Płock stara się o ten system oświetlenia i, jak dowiodły przykłady z innych miast pomniejszych, można przypuścić, że wyprzedzi Warszawę. Niedawno właśnie wniosek takiego oświetlenia, szczegółowo opracowany, złożył jeden z inżenierów. Prezydent miasta bardzo szczerze tę myśl popiera. — Wprowadzone niedawno wodociągi wchodzą coraz szerzej w użycie, dzięki ułatwieniu, uczynionemu przez zarząd tego przedsiębiorstwa w pobieraniu należności (ratami tygodniowemi) od domów prywatnych.

Mińsk. Od lat kilkunastu osuszanie błót poleskich nie ustaje, chociaż w ostatnich czasach daje się spostrzegać pewna opieszałość w tej mierze. To, co osuszono w najświetniejszym okresie, mniej więcej od r. 1876 do 1886, dziś już daje świetne rezultaty. Olbrzymie przestrzenie bagnisk, trzęsawisk nieprodukcyjnych zamieniły się na piękne, bogate łąki. Tylko starzy myśliwi wzdychają na wspomnienie dawnych czasów, gdy te przestrzenie bagniste były siedliskiem niezliczonej masy ptactwa błotnego. Ostatnie sprawozdanie urzędowe wykazuje następujące rezultaty osuszania błót poleskich: R. 1892 roboty te powierzono dwom ekspedycyom: zachodniej i północnej. Pierwsza pracowała między rzekami Dnieprem, Prypecią, Berezyną, Styrem i Uzą na przestrzeni 80,000 dziesięcin, nadto do niej należało 20,000 dzies. w pow. prużańskim, gub. grodzieńskiej i pińskim, gub. mińskiej, między rzekami Cną, Leśną i Żyżgulanką, wreszcie kilka folwarków rządowych w gub. kowieńskiej i witebskiej w porzeczu Dźwiny zachodniej i Dzisny. Na tej przestrzeni roboty niwelacyjne objęły 1,400 wiorst. Długość nowych kanałów wynosi 200 wiorst. W dwu punktach prowadzono stałe obserwacye meteorologiczne i hydrologiczne. Koszty robót rządowych wynosiły (r. 1892) rs. 268,936, prywatnych — 17,592. Ekspedycya północna prowadziła roboty w mniejszym zakresie, w gub północnych i północno-zachodnich.

Petersburg. *Torgowo-prom. gaz.*, a za nią inne pisma petersburskie podają ciekawe szczegóły o jednodniowym spisie ludności w całem państwie. Nie będzie on wcale przypominał poprzednich rewizyi, które stały się zbyteczne z chwilą zniesienia podatków podusznych. „Projekt, opracowany przez ministeryum spraw wewnętrznych — piszą *Birż. Wrem.* — ściśle unika powoływania się na rewizye, aby nie dać powodu do mieszania nowego spisu z tą ciężką czynnością, której niegdyś towarzyszyły nadużycia i ucisk.“ Zamierzony spis jest oparty całkowicie na podstawach naukowych i nosić będzie wyłącznie charakter państwowo-statystyczny. Stosownie do wyników praktyki na Zachodzie i zgodnie z wnioskami kongresów statystycznych, za punkt wyjścia przyjęto trzy następujące zasady: spis będzie jednodniowy w miastach, po za miastami zaś sprowadzony do tego samego dnia; będzie imienny, da wykaz całej tej ludności, która w danym dniu znajdzie się w pewnych miejscowościach; wreszcie odbywać się będzie wyłącznie na podstawie wskazówek samej ludności. Samo wprowadzenie spisu w każdym

okręgu znajdować się będzie w rękach naczelników ziemskich, komisarzy włościańskich, inspektorów itp. osób, wybieranych przez komisye powiatowe. Na każdy okrąg przeznaczonych będzie 12—15-tu osób, prowadzących spis jednocześnie. Po za miastami i w miastach ma być powołana do czynności miejscowa inteligencya, aby zapewnić udział samych mieszkańców w spisie.

SPRAWY EKONOMICZNE

SYSTEM KOMPENSACYJNY.

Chłopski, zdrowy rozum sądzi, że pieniądze zawsze istniały na świecie i że równie przetrwają one wieki całe. Ktoś nawet z wyznawców takiej filozofii posunął się do zuchwałego twierdzenia, iż państwa rozpadną się i nowe cywilizacye powstaną, że z istniejących narodów pozostaną tylko niedobitki, z miast zaś nie będzie kamienia na kamieniu, tylko ów *nervus rerum* oprze się wszystkim przewrotom i będzie urągał powszechnej niestałości. Ale zdrowy rozsądek — przewyborny doradca, kiedy idzie o sprawy bieżące — może jednak zawieść każdego na manowce, gdy zaufamy mu w czemkolwiek, co wybiega po za szranki powszednie. W takich wypadkach mądrze ten postąpi, kto jego widnokręgów nie weźmie za ostateczne. Życie bowiem w swoim nieustającym rozwoju wciąż wyłania nowe wzory tylko po to, ażeby je z biegiem czasu przekształcić i wydać znowu coś zgoła odmiennego. Dzisiejsze pieniądze są właśnie dziecięciem takiej dyalektyki rozwojowej. Był czas, kiedy ich nie było. Powstały one z towarów i początkowo były prostym, jedynie pożądańszym towarem; ukazały się wtedy, gdy złożoność rozwijających się stosunków handlowych zapotrzebowała powszechnego miernika do wartości dóbr i produktów i jednocześnie „smarowidła" dla obrotu ich i wymiany. Zwykły pieniądz, tak, jak my go sobie przedstawiamy, filozofując według recept zdrowego rozsądku, był tedy narzędziem życia ekonomicznego, posiadającym, z punktu widzenia handlu, jedynie strony dodatnie. Minęły wieki, aż wreszcie w wirze wymiennym doby obecnej okazało się, iż to dziecko epoki dawniejszej nie dorosło do obowiązków, dzisiaj od niego wymaganych. Stosunki handlowe wikłają się; obejmują one coraz dalsze okolice i wzrastają zarówno pod względem swego napięcia, jako też rozległości. Wraz z tem pieniądze, takie, jakie zostały nam przekazane przez dzień wczorajszy, nie odpowiadają w dawnej pełni tym nowym warunkom: są one zbyt drogiem narzędziem, powodującem coraz znaczniejsze *faux frais* w społeczeństwie, tj. wydatki nieprodukcyjne. Kruszec w swoim obrocie ulega wytarciu, tj. pewna kwota pieniędzy rok rocznie ginie, rozproszona na drobny pyłek w przestworzu, transporty jego są kosztowne, przechowywanie, nawet w postaci równoznacznika papierowego, bywa uciążliwem. Te usterki nie rzucają się nam w oczy, kiedy uwzględniamy drobne umowy, ale natomiast odrazu stają się widoczne, gdy pod uwagę weźmiemy wielkie obroty handlowe.

Dyalektyka rozwoju ekonomicznego uwydatnia te ujemne strony, stworzywszy odpowiednio wielkie obroty, poczem zaczęła zwolna wysuwać środki ich usunięcia, bo wynalazła szereg szczególnych obrotów, gdzie pieniądze wprawdzie figurują, ale jedynie w roli idealnego miernika wartości, w istocie zaś rzeczy pozostają na uboczu, niby wielkość matematyczna, wyrzucona za nawias dokonywanych działań i występująca na jaw dopiero wtedy, gdy trzeba zamknąć cały rachunek. Przedstawiliśmy już w poprzednim numerze, z okazyi przekładu książki Goschena, próby zastąpienia w handlu międzynarodowym obrotów pieniężnych przez tak zwane weksle zagraniczne. Ale rozebrane tam obroty są jeszcze mocno pieniężnej natury — w tem znaczeniu, że ów weksel wchodzi do sfery wymiennej, kupiony za gotówkę. Są jednak czynności, w których rola pieniędzy realnych jest tak ograniczona, iż one niemal znikają, mianowicie wszystkie operacye kompensacyjne. Ogólna zasada jest bardzo prostą. Przypuśćmy, że *A* winien tysiąc rubli niejakiemu *B*, ten zaś komuś dalszemu, *C*, który znowu podobną sumę ma wypłacić *D*. Wreszcie *D* jest dłużnikiem jeszcze dalszej, piątej osoby *E*, która z kolei ma oddać taką samą kwotę początkowemu ognisku naszego łańcucha, *A*. Według zwyczajów nierozwiniętego systemu obrotów handlowych, trzeba byłoby dokonać aż pięciu wypłat, połączonych z kosztami transportu i czasu, może z pewnemi niedogodnościami. Zamiast tego pasma dostateczną byłaby prosta wzajemna kompensata, która nie przenosząc ani grosza z jednej kieszeni do drugiej, zaspokoiłaby wszelkie zobowiązanie. Naturalnie, życie ekonomiczne nie zna takiej prostoty szematycznej. Lecz, jakkolwiek ono urozmaiciłoby wzajemne zobowiązania, przecież nie znosi możliwości wzajemnej kompensaty, raczej przeciwnie czyni jej urzeczywistnienie sprawą tem większej doniosłości. Trzeba tylko, ażeby istniały centralne urządzenia, w których te zobowiązania zdołałyby się zześrodkowywać, tem samem o sobie powziąć wiadomość i uledz wzajemnemu wyrównaniu. Rozwój ekonomiczny, skupiając życie przemysłowo-finansowe w bankach, przygotował właśnie podstawę dla tego rodzaju czynności, i wreszcie w *Clearing-hous*'ach stworzył dalszy, wyższy szczebel wzajemnej kompensaty.

Zaczniemy od najprostszych urządzeń, które przysposobiły grunt do zwyczaju wyrównywania wzajemnych zobowiązań.

Przyglądając się stosunkom handlowym drobnego miasteczka, spostrzeżemy, iż każdy jest tam swoim własnym bankierem: sklepikarz posiada w domu swoją kasę, z której zaspokaja wierzytelności bieżące i do której przyjmuje napływającą należność. To samo czyni rzemieślnik, przedsiębiorca, właściciel domu. Pieniądze w takiem ustroniu stanowią niezbędne narzędzie obrotów. Ale kiedy zwrócimy się do okolic, bardziej rozwiniętych pod względem ekonomicznym, ujrzymy, iż tam nastały inne zwyczaje. Zamiast trzymania u siebie w domu kasy na bieżące wydatki, ludzie posiadają tylko niezbędną sumę, resztę zaś umieszczają w banku na rachunek bieżący. W Stanach Zjednoczonych nawet niejeden z lepiej płatnych robotników niesie do banku swoją pensyę miesięczną i wybiera ją stamtąd w miarę potrzeby z tygodnia na tydzień i za pozwolenie bankowi użytkowania z tej sumy oszczędza sobie kłopotliwego strzeżenia. I bynajmniej nie trzeba tam każdorazowo udawać się do banku. Mając do załatwienia wydatki bieżące, ów ktoś wydaje na bank proste przekazy swoim wierzycielom, np. gospodarzowi domu za komorne, ten zaś może to zrobić na imię kogoś dalszego, który może odnieść czek do innego banku. W ciągu tych obrotów realna podstawa przekazu spoczywa nieruchomie, i tylko idealne upostaciowanie pewnej jej części krąży w społeczeństwie, aż póki po dokonaniu może bardzo wielu obrotów nie zostanie ono zrealizowanem. Kruszec, względnie banknoty, dopiero wtedy wychodzą z po za nawiasu. Krok jeszcze dalej, a znajdziemy się wobec obrotów, jeszcze bardziej rozbrat biorących z naszemi pojęciami o czynnościach handlowych. Przypuśćmy, iż w pewnem mieście istnieje bank i że różni przedsiębiorcy i obywatele posiadają w nim złożone, odpowiednio do rozległości swoich interesów, sumy bieżące. Wtedy zaspokajanie wzajemnych wierzytelności, względnie należności, może być uskuteczniane przez proste przenoszenie sum w księgach banku i bez wyłożenia pieniędzy, chyba że gdzieś w końcowym rachunku, zjawi się ów pośrednik. Taka wzajemna kompensata za pomocą księgowania, znana pod nazwą zasady *żyrowej*, rozwinęła się tu i owdzie bardzo silnie. Weźmy dla przykładu Hamburg, miasto, w którem każdy dom handlowy w ten sposób prowadzi swoje rachunki. W filii tamtejszej niemieckiego banku państwowego odebrano wypłat żyrowych na 5,479 milionów marek w r. 1890 i wydano na 5,482. Z obu sum blizko po miliardzie przypada na obroty pozamiejskie, mianowicie na wyrównania z filiami banku, znajdującemi się w innych ogniskach handlu. Reszta przypadała na obroty czysto miejscowe. Otóż z dokonanych wypłat 84% ogólnej kwoty uiszczono w postaci księgowania i tylko 16% w gotówce; co zaś do wypłat pobieranych, 81% należało do pierwszej i 19% do drugiej kategoryi. Cyfry te dają wyobrażenie, w jakim stopniu pieniądz przestał być faktycznem narzędziem obrotów. Bank stał się bezpłatnym kasyerem bieżących sum pojedynczych obywateli miasta, dokonywa bezpłatnie wypłat i przyjmuje należności—w postaci prostego zapisywania ich do ksiąg odpowiednich. Zamiast pieniędzy, które powinny krążyć z rąk do rąk, zmieniają się tylko szeregi cyfr w „debet" i „credit" księgi bankowej.

Wróćmy jednak do Ameryki, w której lepiej niż gdzieindziej zdołamy się przyjrzeć pewnym czynnościom. Wobec nieistnienia centralnego banku państwowego, życie ekonomiczne zześrodkowywa się tam w mnóstwie banków prywatnych. Już wspomnieliśmy, że lepiej uposażony robotnik i subjekt, tembardziej zaś kamienicznik lub przemysłowiec, składają swoje kasy bieżące do banku na codzienny rachunek. Czek tam jest zjawiskiem tak pospolitem, jak u nas zwykły weksel. Naturalnie, ktoś, otrzymawszy swoją należność w postaci czeku, nie będzie się udawał do właściwego banku, ale do tego, do którego ma najbliżej. Codziennie więc w każdym banku nagromadza się mnóstwo przekazów na inne. Rodzi się zatem potrzeba wzajemnej wymiany, którą w rzeczy samej uskuteczniają stale z dnia na dzień w pewnem oznaczonem miejscu, w tak zwanych *Clearing-Houses*. Przyjrzałem się nieco działalności takiej instytucyi w Chicago. Do związku kompensacyjnego przystąpiło 23 banków (niektóre z nich są już ogniwami tego rodzaju dla mniejszych). O godzinie jedenastej agenci każdego z nich przychodzą do izby kompensacyjnej, przynoszą walizki z czekami i wymieniają je nawzajem. Odbywa się kompensata, która po półgodzinnej pracy jest już uskuteczniona. Dyrektor wtedy ogłasza, ile ostatecznie jeden bank drugiemu ma wypłacić gotówki tytułem przewyżki ponad dokonane wyrównanie, i obecni rozchodzą się, ażeby znowu powrócić o 12-ej, każdy z odpowiednią kwotą pieniężną. Obroty dzienne są tam milionowe, ale tylko nieznaczna suma bywa wypłacaną w gotowiźnie. Poniżej przytoczona tablica wykazuje nam rozwój samych izb kompensacyjnych w Stanach Zjednoczonych, wyrównań i wreszcie procentu obrotów, wymagających gotówki:

lata	liczba izb kompensacyjnych	ogólna suma kompensat	w tej liczbie w gotówce
1879	58	55,179 mil. dolar.	1,400 mil. dol.
1880	59	37,182 " "	1,517 " "
1881	60	48,566 " "	1,776 " "
1882	61	46,553 " "	1,595 " "
1883	63	40,293 " "	1,569 " "
1884	61	34,092 " "	1,525 " "
1885	64	25,251 " "	1,295 " "
1886	63	33,375 " "	1,530 " "
1887	64	34,373 " "	1,570 " "
1888	63	40,864 " "	1,570 " "

Jak zatem widzimy z przytoczonej tablicy, obroty, kończące się wypłatami w gotówce, zajmują względnie bardzo nieznaczny procent.

Clearing Housy w Stanach są najwyższą instytucyą kompensacyjną. Inaczej być nie może tam, gdzie decentralizacya interesu bankowego jest tak wielką. Ale wyobraźmy sobie, że powstała centralna instytucya w kraju, w rodzaju banku państwowego, w którym każdy z powyżej wymienionych banków posiada swoje rachunki bieżące. Wtedy zamiast przynoszenia gotówki, jak to się odbywa w Chicago, firmy bankowe poprzestaną na zmianach pozycyj odnośnych w księgach banku centralnego. Rola pieniędzy spadnie jeszcze bardziej, jako środka obiegu. Właśnie dzieje się tak w Anglii. Istnieją tam największe izby kompensacyjne. Obroty najważniejszych z nich przedstawiają się jak następuje:

	wielkość obrotów w „Clearing-Housie.“ w r. 1879	w r. 1888
londyńskim . . .	4,885 mil. f. s.	6,916 mil. f. s.
manczesterskim .	84 „ „	136 „ „
newcastelskim .	21 „ „	25 „ „

Wymienione izby kompensacyjne ogarniają kraj cały, ale każdy bank posiada swój rachunek w banku narodowym i tam dokonywa wyrównań przewyżki ponad kompensatę za pomocą przenoszenia pozycyj w księgach. Centralizacya jest jeszcze silniejszą w Niemczech, gdzie bank państwowy ze swojemi 251 filiami poprostu uniemożliwił *Clearing Housy*, a wprowadziwszy zasadę żyrową pomiędzy bieżącemi sumami bezpłatnie z jednej filii do drugiej, rozwinął w najwyższym stopniu możność obrotów bez pośrednictwa gotówki.

Zatrzymaliśmy się nad wybitniejszymi rysami kompensaty. Jest ona dzieckiem tegoczesnego systemu kredytowego, który odłączył od siebie dwie sprawy, ongi zawsze z sobą w parze idące: wymianę towarów i obrót pieniężny. Tamte obecnie istnieje, lecz gotówka nie potrzebuje jej towarzyszyć, zobowiązania podjęte pociągają za sobą wzajemne kompensaty i kończą się na przeniesieniu sumy z jednej księgi, względnie rubryki, do innej. Pieniądz był ongi towarem, aż póki dyalektyka rozwoju ekonomicznego nie odłączyła ich od siebie i nie przeciwstawiła pieniędzy towarowi. Podobnie system kompensat rozwija się na podstawie realnych pieniędzy, lecz na pewnym szczeblu rozwoju staje się niezależny od rozmiarów faktycznej gotówki. Pieniądze tracą swoją właściwość narzędzia wymiany i pozostają jedynie idealnym miernikiem wartości, o który nie dopytujemy się. Rozwój jego zależy od centralizacyi interesu bankowego. Jeżeli ta ostatnia dosięgnie odpowiedniego rozwoju, to możemy sobie przedstawić nawet społeczeństwo, oparte na własności prywatnej, jako obywające się faktycznie bez pieniędzy. Będą one tylko potrzebne przy uskutecznianiu drobnych obrotów, jako tak zwane moneta kieszonkowa.

K. R. Z.

WYSTAWA WYROBÓW METALOWYCH.

Udało się wreszcie niezrażonym inicyatorom Muzeum przemysłu i rolnictwa, po długich usiłowaniach zwalczania obojętności przemysłowców, kilkakrotnem odwlekaniu terminów, urządzić i otworzyć (dnia 21 b. m.) wystawę wyrobów metalowych w gmachu cyrkowym przy ulicy Ordynackiej i ogrodzie Instytutu muzycznego. Obejmuje ona dziesięć działów, stanowiących osobne gałęzie tej dziedziny przemysłu. Pierwszy zawiera wyroby z żelaza, stali, miedzi, mosiądzu, cyny itd., drugi—z bronzu, tudzież odlewy z mieszanin, trzeci—ze złota, srebra i platyny, czwarty — instrumenty i przyrządy, piąty — aparaty, przyrządy elektryczne i galwanoplastyczne, szósty—instrumenty muzyczne, siódmy—zabawki dziecinne z różnych metalów i mieszanin, ósmy — welocypedy, maszyny do szycia i inne, dziewiąty—narzędzia i przyrządy dla straży ogniowych, dziesiąty — motory parowe, gazowe, naftowe, hydrauliczne, powietrzne i t. d. Wogóle wystawa jest urozmaicona, na pierwszy rzut oka wygląda dość bogato, gustownie i malowniczo; po bliższem atoli przyjrzeniu się spostrzegamy znaczne luki, które czynią to, że nie daje ona dokładnego obrazu naszej produkcyi żelaznej, ani jej stopniowego doskonalenia się i rozwoju, tudzież ogólnej siły produkcyjnej. Bądź co bądź, zwraca uwagę sporo takich przedmiotów, które jeszcze przed kilkunastu laty musieliśmy sprowadzać z za granicy, jak np. rowery (Wois i Kosiński), zabawki dziecinne (W. Kietliński). Widzimy dużo rzeczy pięknych, z pewnem poczuciem artystycznem wykonanych, jak świeczniki, kandelabry, lampy przeróżne (J. Serkowski), galanterya metalowa (Gostyński), latarnie (Gąsiorowski), wyroby grawerskie artystyczne (Meisner), przedmioty stylowe z kutego żelaza (Szewczykowski), dużo przedmiotów drucianych (Chrzanowski) itd. Między innemi godzien uwagi jest model kolei wązkotorowej przenośnej (Brauman). Muzeum rzemiosł wystawiło obfity zbiór wzorów, modelów i zabytków dawnego ślusarstwa; warsztaty nauki rzemiosł warszawskiej gminy starozakonnych—wyroby swoich uczniów. Dość pokaźna jest grupa przemysłu wielkiego (Lilpop, Rau, Loewenstein, Poszopny, Huta Bankowa itd.). Ogółem jest 240 uczestników (w czem bardzo mała liczba wystawców prowincyonalnych), a więc wobec szczupłej ich garstki na wystawach poprzednich, obecną pod tym względem zaliczyć można do pomyślniejszych.

Dr.

Wystawa w Niższym Nowogrodzie. W ubiegły wtorek na posiedzeniu sekcyi technicznej inżenier Starynkiewicz scharakteryzował znaczenie i rolę przyszłorocznej wystawy nad Wołgą. Dotychczas złożyło już deklaracye jedenaście tysięcy wystawców wyłącznie krajowych; zagraniczne nie mają wstępu, z wyjątkiem tylko maszyn i narzędzi (po za konkursem) w t. zw. stacyi doświadczalnej. Od zasady odstąpiono dla tego, że w tym zakresie przemysł krajowy jeszcze się nie rozwinął. Prelegent zaznaczył, sądząc z deklaracyi, pokaźny dział przemysłu Królestwa Polskiego w dziale maszynowym. Wreszcie mówca położył nacisk na znaczenie podkomitetów, działających w różnych stronach Cesarstwa, gdy Królestwo nie posiada wcale takiej organizacyi pomocniczej. W końcu p. Starynkiewicz podał bardzo ważny wniosek: ażeby Towarzystwo przemysłu i handlu zajęło się zwołaniem zjazdu swych członków podczas wystawy, dla przejrzenia i wyjaśnienia wielu doniosłych spraw ekonomicznych.

— Port handlowy z Sewastopola do Teodozyi będzie przeniesiony 28 sierpnia r. b. Od tego czasu pierwszy będzie zamknięty tylko dla statków handlowych zagranicznych. Prywatne towarzystwa żeglugi rosyjskiej będą mogły korzystać z niego i nadal.

KRONIKA.

Ustawa miejska. Z powodu zjawiających się ostatnimi czasy w pismach petersburskich i tutejszych pogłosek o bliskiem jakoby wprowadzeniu ustawy miejskiej do miast Królestwa Polskiego, *Warsz. Dniewn.* pisze, iż wątpić należy, czy kwestya ta będzie rozstrzygnięta w niedalekiej przyszłości. Poruszył ją jeszcze b. namiestnik Królestwa Polskiego, hr. Berg, który czynił starania o wprowadzenie ustawy miejskiej z d. 16 czerwca 1870 r. Następca hr. Berga, hr. Kotzebue, podzielając zapatrywania swojego poprzednika, wyznaczył nawet komisyę, która miała obmyślić sposoby zastosowania ustawy do miast tutejszych. Z opinii jej hr. Kotzebue przyszedł do przekonania o zupełnej możliwości wprowadzenia ustawy z r. 1870 do miast Królestwa Polskiego, z niewielkiemi tylko zmianami, spowodowanemi względami politycznymi i różnicami w obowiązującem prawie. Następnie w r. 1878 z Najwyższego rozkazu z d. 28 listopada miała jeszcze raz wziąć kwestyę pod obrady ta sama komisya z udziałem w niej general-gubernatora i kilku urzędników jego kancelaryi, lecz nie przystąpiła do tej czynności. Po ogłoszeniu nowej ustawy miejskiej w r. 1892 nie może już, powiada *Warsz. Dniewn.*, być mowy o wprowadzeniu ustawy dawnej, lecz tylko nowej. Ale choć sprawę istotnie poruszono, zachodzi potrzeba nowego zebrania materyałów przygotowawczych i rozważenia ich w drodze prawodawczej, co rychło nastąpić nie może.

Sprawy społeczne. W Petersburgu otwarty będzie klub głuchoniemych.

— Straż ogniowa w Rawie w ciągu roku ubiegłego liczyła 150 członków.

Szkoły. Studentom polakom uniwersytetu berlińskiego, tudzież słuchaczom politechniki, na zasadzie postanowienia ministeryalnego nakazano niezwłocznie wykreślić się z polskiego kółka samokształcenia w Berlinie. W razie niezastosowania się do tego rozporządzenia, grozi im wydalenie z zakładu naukowego.

— W Radzie państwa złożono wniosek otworzenia w Petersburgu średniego zakładu chemiczno-technicznego, do którego mieliby wstęp kandydaci ze świadectwem 5 klas szkoły realnej. Zakład służyć ma dla uzdolnienia pomocników kolorystów, dyrektorów fabryk perkalu i farbierni. Kurs czteroletni. Uczniowie będą się ćwiczyli praktycznie w warsztatach fabryk perkalu.

— Ministeryum oświaty ogłosiło konkurs na specyalny kurs historyi w języku rosyjskim dla szkół w Wielkiem Księztwie Finlandzkim. Nie będzie to wszakże podręcznik, lecz książka do czytania w szkole i domu.

Koleje i komunikacye. *Birż. Wied.* donoszą: Z początkiem lata r. b. na kolejach w obrębie państwa będą kursowały następujące kategorye pociągów: 1) kuryerskie z szybkością przeszło 40 wiorst na godzinę i z wyższą taryfą; 2) pocztowe z szybkością 30—40 w. na godzinę z taryfą normalną; 3) mieszane towarowo-osobowe z taryfą zniżona; 4) towarowe pośpieszne ze specyalną taryfą po $^1/_3$ kop. od puda i wiorsty z ustępstwem, stosownie do odległości i 5) towarowe zwyczajne z taryfą normalną towarową. Oprócz tego ma być jeszcze ustanowiona specyalna szósta kategorya dla robotników.

— Stosownie do uchwały zjazdu telegraficznego w Warszawie, na wszystkich kolejach Królestwa Polskiego będą prowadzone nadal próby z telefonami, działającymi przy pomocy przewodników telegrafowych.

Wystawy i zjazdy. Pomiędzy 18 a 31 września r. b. w Atlancie (Stany Zjednoczone) odbędzie się międzynarodowa wystawa produktów górniczych, hodowli bydła i rybołóstwa, wyrobów przemysłowych, maszyn, wyrobów elektrotechnicznych i przyrządów kolejowych, wreszcie utworów z zakresu sztuk pięknych.

— Z powodu stuletniego istnienia litografii, będzie otwarta w Paryżu wystawa przedmiotów z tej dziedziny w lipcu r. b.

Zdrowie publiczne. Surowicę przeciwbłonicową d-rów Bujwida i Palmirskiego oddano już do użytku chorych za pośrednictwem aptek warszawskich.

— Dr. Sierzpowski uzyskał pozwolenie na otwarcie w Warszawie lecznicy dla dotkniętych chorobami wenerycznemi i skórnemi.

Śniegi. Telegramy z d. 20 b. m. przyniosły następujące wieści: W Czechach północno-zachodnich wielkie zimna i śniegi. Nakazano rozdzielać ciepłą strawę pomiędzy służbą kolejową, jak podczas srogiej zimy. W górnych Węgrzech panowały wielkie burze i śnieżyce. Karpaty miejscami pokryte półtorametrową warstwą śniegu. W lasach i winnicach szkody. W Ardennach zima. W Luksemburgu drogi pokryte grubą warstwą śniegu. W Zagrzebiu pojawiły się sanie. Doprawdy, gdyby to nie był dzień 20 maja, lecz i kwietnia, wzięlibyśmy te doniesienia za jakiś figiel.

Wypadki. Włochy nawiedziło silne trzęsienie ziemi. Szczególnie ucierpiała Florencya (200 domów uszko-

dzonych), Arezzo, Sienna, Piza, Placenza, Parma, Rzym, Bocca di Papa i wyspa Ischia. W Grassinie zawaliło się 40 domów, w Cascina — 40, w San Martino runął kościół. Dużo osób zabitych i ranionych. O trzęsieniu ziemi donoszą również z Imoschi (Dalmacya), Nikolsberga i Temeszwaru, wreszcie z wyspy Zante.

— Wylew Dniepru w Chersonie zatopił niskie dzielnice miasta, tartaki, przystań i poczynił znaczne szkody.

Odpowiedzi Redakcyi.

Szop. Jest dla nas niepodobieństwem wyliczyć tu wszystkie dzieła godne czytania w czterech językach. Łatwo jednak znajdzie Pan pożądane wskazówki w jakiejkolwiek historyi literatury powszechnej — Hettnera, Scherra lub Brandesa. Ten ostatni w wydanych przez nas *Głównych prądach* objaśni Pana szczegółowo i dobrze.

Witoldowi. Nie dla nas.

Z. St. Nie zamieścimy.

Panu Stefanowi N. w Berlinie. Osobno nie wyszły (z wyjątkiem *O. M.*, który wyczerpany); numerów *Prawdy* z tych lat nie mamy.

Pani Helenie Krzem. Opowieść Pani jest ładna, ale nie skończona, ucięta na chwili nierozstrzygającej niczego i niepozwalającej przewidzieć dalszych losów niczyich. Gdyby Pani mogła nieco skrócić część napisaną (w wielu ustępach rozwlekłą), a natomiast zarysować bodaj konturowo przyszłość swych bohaterów, wyszłaby prawdopodobnie z tej pracy całość artystyczna.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Мая 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.